

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 10 (52)

Jeruzolima, 16 czerwca 1945 r.

Rok III

SIR EDWARD GRIGG, Minister-Rezydent W. Brytanii na Śr. Wschodzie.

PRZYWÓDZCY NARODU

Świat, w którym żyjemy, nie opiera się na czysto naukowych przesłankach. Gdyby tak było, nie istniałyby wojny i niedostatek. Jest to tylko świat mężczyzn i kobiet, zrzeszonych i zorganizowanych w sposób niedoskonały, świat, w którym narody wiedzą o sobie o wiele mniej niżby należało i w którym ponadto duch i charakter narodu, wywodząc się z rasy i historii, mocniej wpływa na bieg wypadków, niż czynniki gospodarcze i geograficzne.

Znaczenie myśli ludzkiej jest o wiele donioślejsze od czynników materialnych. Choć ludność Aten i Rzymu, podobnie jak i inne narody, podlegała wpływom położenia i otoczenia, nie można jednak zestawiać jej nieznacznej liczby z dokonanymi przez nią dziełami. Również i Anglia w ciągu wielu ubiegłych wieków odgrywała rolę nieproporcjonalnie dużą w porównaniu z ilością swych mieszkańców. Za czasów Malbrough załudnienie Anglii stanowiło zaledwie jedną trzecią załudnienia Francji, w epoce Napoleona — jedynie połowę, i chociaż Anglia w ciągu następnego stulecia podwoiła swoją siłę, nie licząc milionów, które wyruszyły za morza, pozostała jednak ciągle niewspółmiernie mała i nieliczna w stosunku do ciążących na niej obowiązków i osiągniętych przez nią politycznych i gospodarczych wpływów. Dziś dysproporcja między potencjałem ludnościowym a rolą, jaką Anglia odgrywa w świecie, zaznacza się jeszcze dobitniej i tylko zaletom tkwiącym we wszystkich warstwach narodu angielskiego zawdzięczamy możliwość sprostania stojącym przed Anglią zadaniom.

Sama kwestia istnienia, charakter narodowy i warunki życia zmusiły Brytyjczyków do zajęcia miejsca w historii — poza wiktoriańską oazą pokoju musieli oni ciągle stawiać czoło niebezpieczeństwom.

Od śmierci królowej Wiktorii, w okresie równym zaledwie 2/3 jej długiego panowania, Anglia musiała walczyć o samo swe istnienie w dwóch wojnach światowych. Po odniesieniu zwycięstwa w obecnych zmaganiach ani Anglia ani jej alianci nie powinni zapomnieć tych wszystkich niebezpieczeństw, z których udało się uratować niemal że cudem. Przyszłość Anglii zależy od jej polityki zagranicznej, od jej polityki gospodarczej i od siły, jaką będzie mogła je poprzeć. Było by błędem pozwolić sobie na przypuszczenie, że państwo, które w tym stopniu, co Anglia, zależy od swoich stosunków ze światem, jeżeli idzie o dostawę żywności, utrzymanie zatrudnienia i bezpieczeństwo, może narazić pozycję międzynarodową dla podniesienia poziomu życia wewnątrz kraju. Dlatego też zdrowa i realistyczna polityka zagraniczna, poparta przez dostateczną siłę, jest tak konieczna dla istnienia Anglii, jak chleb i woda konieczne są dla życia ludzkiego.

Kierownictwo jest niezbędne, a umiejętne jego sprawowanie może doprowadzić do doniosłych osiągnięć. Może ono uprzytomnić narodowi, jakie są jego istotne potrzeby i jego prawdziwa sytuacja, może przemówić do jego wyobraźni i powstrzymać w decydującej

chwili od popełnienia błędów, może zachęcić do rzeczy wielkich. Przez mądre, zręczne i odważne kierowanie sprawami narodu przywódca może w najlepszy sposób zużytkować zasoby kraju, panować nad wydarzeniami i wycisnąć piętno swej indywidualności na historii swoich czasów.

Tym niemniej wszystkie wielkie osobistości są w pewnym stopniu wynikiem epoki w jakiej żyją. Perykles nie mógłby być Pe-

ryklem bez ówczesnych Aten., Lincoln był wyrazem życia Stanów Północnych, tak jak Lee jest charakterystyczny dla Stanów Południowych. Hitler nie doszedłby do swych potworności, gdyby nie miał oparcia w narodzie, do którego przemawiał jego barbarzyńskie cele i metody. Weźmy przykład z innej dziedziny. Szekspir był wykwitem Anglii elżbietańskiej, chociaż przerastał wielkością myśli wszystkich swoich współczesnych. Gdy-

JAN LECHON

PANI MARIA

Zwyczaj bardzo polski pisanie długich wspomnień pośmiertnych, odprawiania solennej żałoby zatrać się w tej wojnie tak zupełnie, że kto czyta przedwojenne, tradycyjne, polskie nekrologi, ma uczucie pograżania się w innym jakimś świecie — jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało, — w świecie spokojnym i pogodnym. W tym świecie śmierć ludzi wielkich czy zasłużonych była wielkim wydarzeniem, gdy dziś stała się codziennością; żałoba po tych ludziach była wyjątkiem z utartej kolei życia, gdy dzisiaj jest powietrzem, którym każdy Polak oddycha. To, co przedtem zapewniało całe kolumny gazet i starczało na tygodnie rozmów i wspomnień, dzisiaj mieści się w paru wierszach na owej tragicznej już stronie strat nie do opłakania i niepowetowanych. Któż dzisiaj mógłby nosić żałobę, zdolną przedstawić żałobę prawdziwą, serce, kto zamawia dziś nabożeństwa żałobne i chodzi na nie? Sami, nie zdając sobie z tego sprawy, błądzimy przeciw wszystkim po wielkim cmentarzu, zaledwie spoglądając na nagrobne napisy.

Śmierć Marii Przybyłko, gdyby nastąpiła przed wojną, byłaby wielką żałobną datą dla polskiego teatru. — Przybyłko bowiem, choć wiekiem należąca do pokolenia przeszłości i choć na skutek choroby zesza niemal ze sceny, była najświetniejszą aktorką tego właśnie rodzaju, który można by nazwać nowoczesnym, była twórczynią postaci, przez swoją zmienność, nerwowość, wieloznaczność psychiczną, wyobrażających dla nas kobiety współczesnej. To znaczy, że w formach i gestach szczególnie dla nas zrozumiałych wypowiadała to, co jest właśnie niezmiennie, zmianom czasu i obyczajów niepodległe: urok, poezję kobiecości.

Epoka teatru, na której schyłku Przybyłko zaczynała swą karierę, była to — jak i w polityce — epoka monarchiczna, epoka znająca już blaski i nędzę mieszczańskiego życia, ale stawiająca je w hierarchii wartości o ileż poniżej od cierpień czy kłopotów królów i możnych tego świata. Bohater — to jest wtedy pomimo wszystko sławny rycerz czy dowódca, bohaterka prawdziwa nosi zawsze diadem na głowie, cierpi nie tylko od uderzeń miłości, ale i od przeciwności historycznych, które zagrażają nie tylko jej sercu, ale i jej dumie. W ówczesnym dramacie francuskim pod bluzkami mieszczanek biją jeszcze konwencjonalne serca heroin historycznych; jeśli publiczność słucha nawet zwykłych ludzkich dramatów ze wzruszeniem, słucha ich zarazem jakby z zawstyżeniem, że ulega uczuciom tak mało wzniosłym. Wielka aktorka tej epoki — jest to więc królowa albo wielka dama; nie może być wielką, jeśli nie ma daru władczego gestu, nie umie nosić dumnie korony na głowie i poruszać się tak, aby fałdy jej sukni układały się harmonijnie. Mimo swej nerwowości — Sarah Bernhardt jest z rasy tych właśnie królowych, tym władczym gestem zachwyca i porwuje tłumy Adelaida Ristori, tą postawą, tą pańską ciążą króluje u nas i w Ameryce Modrzejewska.

Przybyłko, która stawszy się uznaną przez wszystkich największą aktorką polską, próbowała grać i owe wielkie koturnowe role, nigdy nie czuła się w nich swojo i gdyby publiczność ostatnich lat miała możliwość porównać jej grę z kreacjami dawnej szkoły, musiałaby zrozumieć, jak bardzo Przybyłko była aktorką mieszczańską, jak bardzo ludzką i przez to nowoczesną.

Jak żadna inna z gwiazd nowoczesnego polskiego teatru, Przybyłko pojęła i odczuła poezję tej właśnie codzienności, głębię owych dramatów zwykłych, szlachetność dusz kobiecych, które cierpiały inaczej, ale nie mniej mocno i prawdziwie niż wielkie patetyczne heroiny; sztuka Marii Przybyłko ciepła, ludzka i głęboka, było to jedno ze zwycięstw tej rewolucji, która zdezonizowała królewskość na rzecz ludzkości w teatrze.

Legendarny sukces pierwszych lat kariery Przybyłko — „Popychadło“ Szukiewicz, sztuka dziś zapomniana i złożona do akt dawnych polskiej sceny — był dla charakteru jej talentu niejako symboliczny. Przez lat kilkadziesiąt odtąd miała Przybyłko wcielać się w postacie bez aureoli, bez diademów i klejnotów, miała zjawiać się na scenie częściej niż w pysznych sukniach wieczorowych w perkalikach biednych żon z prowincji, tęskniących do lepszego życia i lepszej miłości, i tanich wełnianych sukienkach dziewcząt zbuntowanych przeciw szaryźnie i pospolitości ich losu. Jeżeli brakło w talencie Przybyłko tych wszystkich nut i odczuć, które stanowiły o władztwie Modrzejewskiej, czy nawet Marcello, na niczym mu przecie nie zbywało, co było potrzebne, aby odtworzyć w całej pełni, całym bogactwem ową duszę nie królewską, niby prostą a tak właśnie złożoną duszę kobiety współczesnej, odkrytą przez wielkich realistów powieści, przez wielkich rewolucjonistów dramatu — Ibsena, Przybyszewskiego i Strindberga.

Ton głębokiego liryzmu, ton tłumionego mozołnie i wybuchającego burzliwie dramatu, ton właśnie Przybyszewskiego i jego naśladowców, jest przez długie lata najbardziej własnym tonem Przybyłko; w odtwarzaniu tych właśnie kobiet, na pozór zwykłych a tak niezwykle umiających kochać i cierpieć, jest długo Przybyłko mistrzynią niedościgłą i po prostu tłumaczką najlepszego całej epoki literatury, całego przebrzmiałego już dziś okresu odczuć.

To, co pozwala jej wyjść poza ów zakres i w nowym okresie teatru równie świetnie lecz inaczej zabłysnąć — jest to inne oblicze ludzkości tego pięknego talentu: uśmiech ciepły, kobiecy, pełen dowcipu i pogody, tak rzadko zjawiający się na ściśniętej cierpieniem twarzy Bronki ze „Śniegu“, czy „Lekkomyśnej siostry“ a tak nieodłączny od spojrzenia bohaterki Shawa i de Fiersa.

Zmiana zaszła w uczuciowości, w literaturze, w filozofii życia na przełomie między symbolizmem, nastrojowością i pogodnym racjonalizmem czasu przed pierwszą wojną — wyraża się w teatrze Polskim między innymi przez ową ewolucję naturalną a świetną talentu Marii Przybyłko, przez jej przejście od liryzmu dramatycznego do komedii lirycznej. Jak dziesięć lat przedtem bunt i rozpacz, teraz przedstawia Przybyłko niezmierznię uśmiechniętą mądrość kobiet świadomych swych ambicji, swego czaru, idących po swoje szczęście bez rewolwerowych strzałów, zdolnych nie tylko marzyć o szczęściu, ale również je zdobywać i zachować. W tym czasie ów mądry kobiecy uśmiech Marii Przybyłko jest jednym z prawdziwych skarbów polskiego teatru, triumfując w całym wielkim repertuarze komediowym francuskim i osiągając szczyty wielkiej komediowej sztuki w dziś już legendarnej kreacji Elizy z „Pigmaliона“.

Wykaz ról Marii Przybyłko od chwili, gdy stała się heroiną Teatru Polskiego w Warszawie, stworzonego w pewnym sensie dla niej

(Dokończenie na str. 6-iej)

W numerze :

Włodzimierz Bączkowski: Kresowi żołnierze. — Jan Olechowski: O żołnierzu-tulaczku. — Melchior Wańkowicz: Patrol ppor. Jędrzejewskiego. — Jan Bielatowicz: Kalwaria. — Karol Estreicher: Pan Szymański. — Stanley Dobson: Stronictwa polityczne W. Brytanii. — Stanisław Baliński: Ballada o ulicach Warszawy. — Jerzy Lenczowski: „Biała księga“. — Wiktor Weintraub: List z Londynu. — zb: Przegląd polityczny. — Korespondencja.

by Anglia elżbietańska była inna — inny również, mimo całego swojego geniuszu, byłby Szekspir. Czerpał on tworzywo z myśli, uczuć, ksiązek i wydarzeń swego czasu i przetwarzał je swym płomiennym talentem na dzieła teatru i poezji. Przywódcy narodów muszą być mistrzami swego rzemiosła, ale nie zdołają wywyższyć do wielkości narodu, który nie posiada jej w samym sobie.

Kierownictwo narodowe zależy więc nie tylko od znalezienia odpowiednich mężów stanu, ale również od wartości narodu, który za nimi pójdzie. Jeżeli naród nie będzie posiadał zdrowego sądu politycznego, nie znajdziemy go w parlamencie — zresztą, jakże mogło być inaczej w przedstawicielstwie narodowym opartym na powszechnym głosowaniu? Jeżeli nie będzie miał tych kwalifikacji parlament, nie wyda on poważnych polityków, a skutki w dziedzinie polityki zagranicznej i obrony narodowej nie dadzą na siebie długo czekać. Nie rozporządzamy dziś nawet tym minimum bezpieczeństwa, jakie posiadaliśmy na początku tej wojny, a i wówczas nasze bezpieczeństwo było znacznie mniejsze, niż za czasów królowej Wiktorii i króla Edwarda. Dlatego też będziemy w przyszłości żyć znowu pośród niebezpieczeństw. Możemy jednak niebezpieczeństwa pokonać tak, jak czyniliśmy to od wieków, jeżeli kierownictwo spoczywać będzie we właściwych rękach.

Zarówno w polityce zagranicznej jak i w polityce wewnętrznej ostatecznym czynnikiem decydującym będzie zawsze charakter i wartość narodu. Ministrowie spraw zagranicznych winni być ludźmi zdolnymi, przewidującymi i odważnymi, umiającymi spojrzeć w oczy rzeczywistości i posiadającymi wobec niej wyraźne cele. Z chwilą jednak, gdy uczynią wszystko co leży w ich mocy, dalsze ich wysiłki zależą już od przeciętnej poziomu wykształcenia, przeciętnej zdolności sądu, wyuczucia spraw politycznych i od tego jak owe czynniki znalazły wyraz w układzie parlamentu. W Wielkiej Brytanii właśnie dlatego, że nasza liczba jest niewielka w porównaniu z odpowiedzialnością jakiej musimy podjąć, nie możemy dopuścić do straty choćby jednego talentu, do zniszczenia choćby jednej młodości i zmarnowania się choćby jednego młodego umysłu.

Zasada wodzostwa (Fuehrerprinzip) nie przyjmie się nigdy w Anglii, ponieważ naród angielski nigdy nie zgodzi się na narzucenie mu formy rządu, która pozbawiłaby go prawa zmieniania przywódców, gdy tylko zechce. Istniała Anglia Baldwina i istnieje Anglia Churchilla i każda z nich w różny sposób reprezentuje naród i obie będą zawsze istnieć. Tym co posiada znaczenie istotne jest sama Anglia, Anglia swego króla, gdyż król, stojąc ponad wszystkimi partiami i wszelkimi przemianami politycznymi, jest żywym symbolem narodu w jego odwiecznej historii, sięgającej od Saksonów, Normanów, Plantagenetów i długiego panowania Tudorów aż do czasów obecnych, — symbolem, który łączy także naród żyjący na swej starej ojczystej wyspie z wszystkimi narodami i ludami, nad którymi król dziś panuje.

Nowość!

WLADYSŁAW BRONIEWSKI
„Drzewo rozpaczające“

Poezje

Nakład wydawnictwa „W Drodze“

Nowość!

SZYMON ASKENAZY
„Ks. Józef Poniatowski“
Wydanie V

Nakład wydawnictwa „W Drodze“

WŁODZIMIERZ BĄCZKOWSKI

K R E S O W I Ż O Ł N I E R Z E

I

W r. 1410, w przełomowym momencie historii Polski, po raz pierwszy na arenie naszych dziejów, w jednym szeregu z Polską stanęły Ruś i Litwa, stwarzając podstawy zagadnienia znanego pod różnymi nazwami: Polski Trójjedynnej, Kresów, Ziemi Wschodnich itp. Od tej chwili będą nam owe zagadnienia stałe towarzyszyć, stając się tak dalece nieodłączne od naszego życia narodowego i państwowego, że trudno wyobrazić sobie bez nich całą naszą późniejszą historię. Samo nawet istnienie Polski, jako silnego mocarstwa, bez Jagiellonów i tego wszystkiego, co jest związane z ich epoką i co kontynuowało po Zygmuncie Auguste ich myśl polityczną, wydaje się niemożliwe.

Nie zbliżyliśmy się do Litwy i Rusi w zwykłej i pospolitej drodze podbojów wojennych. Polityka Kazimierza Wielkiego wobec Grodów Czerwieńskich była na owe czasy zupełnie wyjątkowa w swym liberalizmie i zdolności pozyskiwania obcych narodowo żywiołów dla wspólnego dobra. W studium Henryka Paszkiewicza pt. „Polityka ruska Kazimierza Wielkiego” czytamy o tym, jak Kazimierz dążył konsekwentnie przez cały ciąg swoich rządów do pogodzenia interesów bojarów oraz tamtejszego mieszczaństwa z interesami i potrzebami Polski. W dokumentach swoich hojnie nagradza wszystkich tych, którzy położyli zasługi dla wspólnego dobra obu krajów... Nawet Hruszewski przyznać musi, że nie podobna stwierdzić wśród ruskiej ludności jakiegokolwiek opozycji przeciwko rządowi polskiemu, aczkolwiek bojarowie stanowili poważną siłę, zdolną bez wątpienia do okazania sprzeciwu.

Obok polityki umiejętnego, opartego na sprawiedliwości, zjednywania ludów Rusi i Litwy, działały tu i przyczyny zewnętrzne. Najazdy Mongołów na Ruś Kijowską, napady zakonów germańskich na północy, a obok tego zmierzch Bizancjum, dotychczasowej stolicy kulturalnej wschodniej Europy — wszystko to desygnowało Polskę na główną ostoję ludów międzyrzecza bałtycko-czarnomorskiego, wytwarzając warunki dla późniejszych federacji. Grunwald stał się średnią wypadkową wszystkich tych przyczyn, zradzając z kolei skutki niezwykle doniosłe dla naszej przyszłości.

Historyk wojskowy, gen. M. Kukiel, w swym „Zarysie historii wojskowości w Polsce” kreśli taki oto obraz układu sił narodowo-politycznych i wojskowych w bitwie pod Grunwaldem:

Polacy, jazda rycerska, około 20 tysięcy,
Rusini i Litwini około 12 tysięcy,
Tatarzy (liczba przesadzona) około 30 tysięcy; ponadto w bitwie brali udział
Czesi i inne narodowości.

Rola Rusi, Litwy i Tatarów nie wyraziła się jedynie w liczbie dość pokaźnej, obrazującej siłę materialną, pomocną nam w pokonaniu wroga. Wystąpiła ona przede wszystkim w wysublimowanym planie wojennej współpracy polsko-litewskiej, w kilkakrotnie w ten sposób powiększonej przestrzeni operacyjnej, oraz w najmniej dostrzegalnym, lecz niezwykle ważkim czynniku, jakim była strategia wojenna Władysława Jagiełły, tego rzeczywistego dowódcy wojska polskiego pod Grunwaldem. Uczeń najdoskonalszej, w tej części świata, doktryny wojennej Tochtamysza i Mamaja, spadkobierców geniuszu Czngizy i Tamerlana, Jagiełło oderwał ciało dowodzące od pola bitewnego (w odróżnieniu od Krzyżaków, gdzie wódz walczył w szeregach, ginąc na polu walki), użył głębokich rezerw, uderzenia na flanki, taktyki pozornego odwrotu, nieznanych na Zachodzie metod łączności i forteli.

Zwycięstwo pod Grunwaldem stało się istotnie momentem zwrotnym naszych dziejów. Od pamiętnego wieczoru lipcowego 1410 roku „na długo, długo — jak pisze Szajnocha — zaszło Niemcom słońce na Wschodzie”.

Granica polsko-niemiecka od czasu tego stała się najbardziej nieruchomą i trwałą, aż do chwili poprzedzających pierwsze rozbiory. Tu zrodziły się hołdy pruskie i sukcesy nad półksiężcem. Tu przede wszystkim, zakładając fundamenty pod wielką Polskę Jagiellońską, położono tamę rozwojowi Księstwa Moskiewskiego, które odtąd przez trzy blisko wieki jedynie żółtym krokiem posuwało się w kierunku Zachodu, murem polsko-litewskiej unii odcięte od Litwy, ziem ukraińskich i Korony.

II

Obok wielkiego Grunwaldu znane są dziejom naszym pomniejsze zwycięstwa, „małe Grunwaldy”, obok Jagiełły — inni wybitni mężowie stanu przez ziemie wschodnie zrodzeni i wykarmieni. Ileż w rejestrze zasług dla Rzeczypospolitej zapisał książę Konstanty Ostrogski, zbawiając zbrodnią zbratanie się z ludem w Horodle podbity, Rusin, prawosławny, wygrywając dla Polski 63 bitew i potyczek i po ucieczce z niewoli moskiewskiej dwie cerkwie w Wilnie fundujący! W przestarzałych, lecz nieprześcignionych dotychczas „Dziejach Wojen i Wojskowości w Polsce” Tadeusza Korzona czytamy o sławnym Kircholmie:

„Ussaria Chodkiewicza pod Kircholmem pochodziła nie z Mazowsza lub z Wielkiej Polski, lecz ze żmudzkich, litewskich,

ruskich Monwidów, Girwidów, Milwidów, Szukstów, Dukstów, Puksztów, Kierbaców, Kulwieców, Woropajów, Hornostajów, Fiedziuszków, Hawryłów, Zerebilów itp. rodów”.

Za Batorego, Jan Zamojski w liście do Gdańszczan, pisany po wojnie z Turkami w 1600 r., podkreślał: „W tej wojnie najświetniej zajaśniało męstwo niżowców: ten żołnierz ma obszarpaną odzież, lecz przestawną cnotą odwagi i waleczności zasługuje na życliwość waszą”.

Za Zygmunta III i Władysława IV błysła owa cnota wojenna raz jeszcze u polskiego Lawrence'a XVII stulecia. W lekkiej, nieregularnej jeździe Lisowskiego, liczącej do 20 tys. — spotkać można było Kozaków, Zaporozców, Dońców, Czerkiesów, Tatarów znad Wołgi. Wypadał Lisowski na czaty nieprzyjacielskie, okupował miasta, przerywał drogi komunikacji nieprzyjaciela. Gdy pod Chocimem Turcy zagrażali Polsce — Lisowczycy zatrzymali na sobie oręż turecki: „Były chwile przesilenia — pisze Rostafiński — („Zarys Historii Rozwoju Wojskowości w Polsce”) — w których Polska na ich męstwie opierała się”.

W wojnie 1621 r. opromienił się sławą Konaszewicz Sahajdaczny.

„Wzywano go wraz z pułkownikami kozackimi na radę wojenną, przypuszczano do wszelkich tajemnic, ceniono zawsze jego śmiałe zdanie, dzielność w odpięciu szturmów tureckich i wierność okazaną przy zapobieganiu buntowi. Najpoważniejszy dziękuję tej wojny, Jakób Sobieski, zaliczył go do najsławniejszych w Polsce ówczesnej meżów... Z radością przyjmowali królewicz i hetmani zastępy molojcow, którzy zyskali powszechne pochwały i koleżeńską życliwość u rycerstwa polskiego walecznością i wytrwałością. Była to wielka zasługa, jaką wyświadczyła Kozacyzna nie tylko Polsce, ale i Europie chrześcijańskiej i cywilizacji zachodniej w ciągu całego swego istnienia” (Korzon, op. cit.).

III

Przykładów takich można by przytoczyć wiele. Cała rzeczywistość wojenna Rzeczypospolitej przesiąknięta była udziałem Litwy i Rusi, Kozaczyzny i Tatarszczyzny. Najmocniej elementy te — w okresie pojagiellońskim — występowały w dobie od Batorego do króla Jana.

Stefan Batory, organizując „Wojsko Jego Królewskiej Mości Zaporoskie”, przychylił się do udziału Kozaków w wyprawie Wiśniowieckiego do Siewierszczyzny. Hetman Kozakom Samuel Zborowski. Występując stale w walkach polskich na wschodzie — stali się oni źródłem wielu przykrości dyplomatycznych, ale też i przyczyną, dla której stepu czarnomorskiego od Akermanu i Krymu do Kijowa nie zdołała ogarnąć kolonizacja turecko-tatarska.

Wyprawa moskiewska Władysława IV znowu pociągnęła Kozaków do wojska polskiego. Słynny Zarucki z Wołynia służył

Mniszchównie do roku 1614. Żółkiewski wspomina o 30 tysiącach Kozaków, przyprowadzonych przez Olewczenkę pod Smoleńsk. Mamy Kozaków i pod Kłuszynem i znów przy odsieczy Smoleńska w wojnie 1633 r.

Po dobie Chmielnickiego, — w wojnie 1659 r., gdy Szeremietjew wraz z Jurkiem Chmielnickim posuwali się na czele wielkiej armii — spotkały ich małe, lecz wyborowe oddziały polskie. Przyłączył się wówczas do nich Jan Wyhowski z 14 chorągiewami wierznych królówi Kozaków.

Posiada swoją kartę w dziejach wojskowych Polski i Sirkko, uwolniony za wstawieniem króla Michała. Po 1672 r., mając 5000 molojcow wypadł on pod Oczaków, posunął się do Krymu, spustoszył znaczną przestrzeń, odbił kilka tysięcy niewolnika polskiego i odesłał do Kijowa.

Za czasów króla Jana niejaki Kunicki w 1683 r. wysłał manifest do hetmanów polskich, gadywając atak na Tatarów białogrodzkich. Król mianował Kunickiego hetmanem zaporoskim, a ten zebrałszy Kozaków w Besarabii odniósł świetne zwycięstwo nad Turkami. W rok później w 1684 r. przesłał król uniwersał wychwalający waleczność Kozaków i zapraszający ich do udziału w nowej wyprawie.

W wyprawie wiedeńskiej Sobieski liczył wybitnie na Kozaków i w liście z Hollabrunn pisał: „...a ja nie dbam o nikogo, jeno o samych kozaków, do których nieraz westchnę”. Kozacy go jednak w znacznym stopniu zawiedli, przybywając w większej ilości dopiero pod Preszburg, aby wziąć udział w operacjach na Węgrzech.

IV

Należy się parę słów i Lipkom — Tatarom litewskim, których udział w dziejach wojennych Polski i Litwy był bardzo poważny. Fundatorzy „tańca tatarskiego” i guerilli polskich, toczonych na obszarach od Czarnego Morza do Inflant, ongiś liczni, potem w morzu ludności kresowej roztopieni, odegrali oni rolę wyjątkową, jako mistrzowie „małej wojny”, najlepsi zwiadowcy, po części instruktorzy znakomitej konnicy i husarii polskiej. W okresach, gdy pod wpływem pokoju, panującego na zachodzie Polski, rycerstwo polskie ulegało osłabieniu ducha bojowego, gdy wedle świadectwa „Publici” biskupa Józefa Wereszczyńskiego „w przyblichach kury hodowano, a broń przekuwano na narzędzia rolne”, wówczas rycerstwo z Kresów, a między nimi Tatarzy polscy, świecili przykładem nieprzerwanej służby wojskowej, ofiarności i wierności dla przybranej ojczyzny. Stwarzali oni w wojsku polskim swoisty styl, zaradliwy i bardzo często naśladowany, o czym świadczy chociażby to, że tureckie słowo „oghlan” (młodzieniec, giermek) zrodziło polskiego ulana, a tatarska czapka z czworokątnym wierzchem stała się prototypem polskiej rogatywki i czapki wojskowej.

JAN OLECHOWSKI

O ŻOŁNIERZU-TUŁACZU

„...Idź, gdzie nogi poniosą, dokąd przez morskie zwaly
Wiatr z północy cię wezwie, lub żar afrykański zawoła...”

(...Ite, pedas quocumque ferent, quocumque per undas
Notus vocabit, aut protervus Africus...)

HORACY.

Idź, gdzie nogi poniosą. Gdy wiatr z północy zawieje
I oczy przesłoni bólem i śniegiem sygnie ci w twarz —
Idź, po świecie obnosić swój żal... stracone nadzieje
I sławę dumną, zdeptaną — porwany, żołnierskiej płaszczy.

W miast zgrzytających kłębach mroczne czekają tawerny,
Gdzie noc, deszcz i muzyka ludzkim ci głosem zaplaczą.
Tam utopisz najłatwiej wspomnienia — ból śmiertelny
Alkoholizną, gorzką, nieugaszoną rozpaczą.

Przyjdą z błot San Dominga, sprzedani w gruzach Werony,
Zaprzepaszczeni na ładach, zgubieni na szlakach morskich,
Wszyscy jeżdżą się znowu. Hej, towarzysze broni! —
Piosnkę starą zamućmy: „...marsz, marsz, z ziemi włoskiej...”

Taki jest wyrok świata. Nieś obraz ojczystej ziemi
Pod powiekami marzeń, zasnuty mgłą nostalgii,
Po cudzych krajach, morzach, z rękami beznymi.
Zamknięto słowem gromkim żołnierskiej piosenki wargi.

Wszystko w tej wojnie już było. Pieśń uniesień gorących
I gniew idący naprzeciw kłamstwu, przemocy i zdradzie,
Szept pacierza przed śmiercią i okrzyk — krew bluzgająca.
W tej wojnie na gruzach marzeń jedyny padł przyjaciel.

Idź, gdzie nogi poniosą. Niech serce stężeje w kamień.
Krew jest sieją głęboką i Boże znaczą ją losy.
To jest twój w ziemię rzucony nieubłagany testament,
Nad którym wejdą kiedyś rewolucyjne kłosa.

V

Często można się spotkać ze zdaniem, że uwaga zwrócona na stronę Ziemi Wschodnich w polityce dawnej Rzeczypospolitej — stała się źródłem upadku naszych wpływów na Zachodzie. Jest to rażący błąd. Nasza słabość na Wschodzie zawsze zbiegała się ze słabizną na Zachodzie. Niezaradność wobec spraw Zachodu szła w parze z niezaradnością wobec zagadnień Wschodu.

Jest faktem historycznym, że wielcy przedstawiciele planów wschodnich byli zarazem najlepszymi naszymi obrońcami na Zachodzie. Tak było nie tylko za Jagiełły, ale jeszcze za Chrobrego. Podobnie za Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki, autorki zdania, że „bez dominium maris Baltici — Polska zmarnieje”. To samo powtarza się za jej męża Stefana Batorego, projektodawcy pra-Gdyni i za Władysława IV, nie popartego przez szlachtę w jego planach stworzenia polskiej floty morskiej. Inny „kozakofil”, Jan Sobieski, czynił bezskuteczne starania budowy portu na wybrzeżach żmudzkich i floty handlowej. Spraw morza nie rozumieli natomiast wszyscy przybysze z Zachodu.

Nic więc dziwnego, że w podręcznikach nowożytnej historii polskiej tak wiele jest o Wschodzie i tak stosunkowo niewiele o Zachodzie. Nie wynikało to wcale z nierozważnej tendencji przeceniania spraw Wschodu na niekorzyść Zachodu. Było to jedynie naturalną konsekwencją przewagi kłopotów i problemów wchodnich nad zachodnimi. Olgierd Górka w swej pasjonującej książce „Dziejowa rzeczywistość a racja stanu Polski na południowo-wschodzie” podkreśla, że w wyprawach wołoskich więcej poleła się polskiej krwi, niż w walkach z najpotężniejszymi sąsiadami. O Pokucie toczyliśmy stałe bitwy w XV i XVI stuleciu, bitwy, o których ani słowem nie wspominają opracowania Polskiej Akademii Umiejętności. Od 1241 roku do r. 1699 mieliśmy około 200 najazdów rabunkowych tatarskich na polskie ziemie wschodnie, a do końca XVII wieku około 16 wielkich, niekiedy paruletnich wojen z Moskwą.

Historyczna rzeczywistość Polski przede wszystkim związała się z Ziemiami Wschodnimi. Tam znajdują się źródła naszej potęgi wobec Zachodu, tam też znajduje się nie tylko place d'arme, ale i źródło siły w obronie przed Wschodem. I jeśli znalazło to swój wyraz w historii wojen Rzeczypospolitej, dając najwspanialsze postacie naszych talentów wojennych, jak zrodzonych na Kresach: Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Sobieskiego i tylu innych aż po Kościuszkę i Piłsudskiego, to i w dziedzinie ducha Ziemię tę wydały postacie na największą w Polsce miarę: Mickiewicza i Słowackiego.

Stanisław Estreicher pisał („Znaczenie Kresów”), że polski typ wytworzony przez Kresy — usunął w cień marazm mieszczaństwa zachodnio-polskiego, jego przesadne domatorstwo i pacyfizm. Na Kresach stale się odradzał typ twórczego osadnika, bogatej i bujnej duszy, zapatrzonej w przyszłość. Kresy kształtowały tego ducha, któremu wszystkie niemal narody europejskie zawdzięczały swą wielkość i wszechstronność bytu narodowego.

VI

Nieznanne są jednak ani w historii, ani w przyrodzie, zjawiska złożone, które by nie łączyły w sobie sprzecznych składników. Istnieją Ormuzd i Aryman Ziemi Wschodnich. Odwrotną stroną medalu posiadają i kresy, owa wylęgarnia królewiat, rebelii i konfliktów religijnych, narodowościowych, politycznych. Henryk Sienkiewicz, choć stronniczo, lecz nie bez pewnej dozy słuszności, pisze, że od chwili unii Polski z Litwą, polski zmysł państwowy zaczął słabnąć wskutek napływu owych pierwiastków, które nazywamy wschodnimi i w których kłóca się ze sobą kontrasty górnolotnego marzenia i gnuśnej obojętności na zło, mistycznych wzlotów i grubego materializmu, niewolniczej bierności i anarchicznej swawoli*).

Nie zmienia to istoty sprawy. Jeżeli nawet przyjlibyśmy określenie Ziemi Wschodnich jako pewnego rodzaju garbu na naszym organizmie, nie możemy nie dostrzec rzucającego się w oczy faktu, iż przez „garb” ten przechodzą główne arterie naszego życia narodowego i państwowego i że wszelka próba zoperowania groziłaby nam niechybną śmiercią.

VII

Dawna Litwa i Ruś, uosobione w pomniejszającym pojęciu Ziemi Wschodnich, od sześciu stuleci stały się jednym z głównych kamieni węgielnych gmachu Rzeczypospolitej Polskiej, elementem tak istotnym Jej życia, że bez tych ziem nie możemy sobie wyobrazić Polski ani wielkiej ani małej, lecz jedynie kadłub zanikający, przez potężnych sąsiadów od Wschodu i Zachodu pochłaniany. Oto dlaczego politykę panów krakowskich, którzy za Łokietka i Kazimierza spoglądali na Wschód, zajmując Grody Czerwieńskie i śląc posłów do Litwy — uznać należy za zbawiającą dla całej naszej przyszłości. Oto dlaczego wszelki zamiar narzucenia nam linii Curzona traktujemy jako próbę czwartego rozbioru Polski i początek całkowitej likwidacji niepodległości Polski.

*) W państwowości rosyjskiej rola pierwiastków wschodnich była niezwykle dodatnia i umacniająca więzy despotycznego państwa.

MELCHIOR WANKOWICZ

PATROL ppor. JĘDRZEJEWSKIEGO*

Kto by o tej godzinie 6-tej rano, 17 maja, kiedy batalion 16-ty ostatecznie umocnił się na Widmie, a batalion 17-ty inaugurował na odcinku Kresowej drugie generalne natarcie, kto by wówczas był w sztabie Karpaciej, a nie zająłby do „operacyjnego” — mógłby sądzić, że nie się nie dzieje, że okres „międzynatarcia” trwa nadal.

Wprawdzie usilna kanonada rozpoczęta wczoraj wieczorem szła przez całą noc, ale tak się do niej ucho przyzwyczaiło, że nie przeszkadzało to słuchać całych kapeli słowiańskich.

„W taki pomyśleć ognia powiew,
w ten huk i pomruk wdą się słowik
i wiedzie, ciągnie w inne światy
przeszło liryczne — pizzicato“.

(Ppor. Bol. Kобрzyński)

Rano goreje blask od kobierców mako-
wych podchodzących ze wszystkich stron do
gaju, w którym zamaskowało się dowództwo
Karpaciej. Huk kanonady coraz bardziej
się natęża, chociaż przed dowództwem stoi po
dawnemu wielka tablica z napisem „proszę
zachować ciszę!” Wstaje dzień walki, dzień
walki, która, wiemy to wszyscy, musi być wal-
ką ostatnią dla Korpusu i skończyć się zwy-
cięstwem, albo klęską i wycofaniem. Bo nie
będziemy już mieli ani jednego plutonu w od-
wodzie.

W Karpaciej zaczęła się ona już w no-
cy. Nie rozpoczęło jej generalne uderzenie,
ale tak, jak i w Kresowej, natężone patrolo-
wanie. Rzekłbyś, napięcie tych dni było
tak silne, że walka musiała się wywiązać sa-
ma. Jak wczoraj w Kresowej mjr. St., tak
w Karpaciej dzisiejszej nocy dowódca 4-go
baonu, ppłk. Fanslau otrzymał rozkaz spa-
trolowania wzgórza 593, które „prawdopodob-
nie, wobec zdobycia st. Angelo, jest wolne”.

Patrol w składzie 30 ludzi prowadzi ppor.
Jędrzejewski. Nabrali granatów nawet do
worków. Ranni znoszeni w pierwszym natar-
ciu poprzez stanowiska IV-go baonu, upomi-
nali się wargami: „Więcej granatów, to
ich dostaniecie!”

Wyciągnęli się skalną ścieżyną gęsiego w
zupełnej ciemności. Przy domku wysuniętego
Punktu Opatrunkowego montuje się patrol
ostatecznie. Dołącza obserwator artyleryjski,
ppor. Figiel z radiooperatorem Grudzińskim.

Ppor. Figiel, chłopak syn, niski, krępy
blondyn, mówiący z chłopską, student Akade-
mii Górniczej. Roboty przymusowe w Niem-
czech, sabotaż, ucieczka przez Jugosławię,
kontuzjowany jako kanonier w Libii.

Gustaw Grudziński, student polonistyki,
młody krytyk literacki, współpracownik pisma
konspiracyjnego w Kraju.

Czas ruszać. Jeszcze ostatnie słowa. W
ciemności słychać ciepły głos ppłk. Fanslaua,
wypytujący ppor. Jędrzejewskiego o jakiś
dawny list. Ten list — to pretekst. Chodzi
o to, aby dać — jak daje się tyk wody do
manierki — haust spokoju z tego biednego,
pooranego pociskami domku, który wobec
wzgórza 593 wydaje się przystanią i zaciszem.

Artylerzysta, mjr. Stojewski, niski z dłu-
gim nosem, lubiany przez żołnierzy za zawa-
sze dobry humor, dyndając wielkim długim
pistoletem, który mu się bełta przy udzie,
podchodzi do Grudzińskiego i gładzi go po
twarzy:

— Nie wiem, chłopcze, czy wrócisz, —
mówi po swojemu z lwowska, — ale pamię-
taj, ile od ciebie zależy...

Już wychodzą bezszelestnie jak duchy —
mają nogi owinięte szmatami. Przy wyjściu
stoi Fanslau — tego po ramieniu poklepie,
innego pogładzi po twarzy. Tak troskliwy
baca dotyka kierdelu owiec wypuszczonego
jeszcze za ciemną z koliby na żleb. Są cali,
krew w nich szybko krąży.

Jeszcze jeden przystanek, — domek dok-
tora. Tam przed samym wyruszeniem psuje
się coś w stacji radiowej. Głucha rozpacz.
W tej małej szkatułce leży jedyna możliwość
wywołania ogni zaporowych, ratunku. Linie
telefoniczne to wątpliwa sprawa. Wiadomo z
pierwszego natarcia, że telefoniści giną ma-
sowo, a kable rwą się jak pajęczyna w roz-
pryskach pocisków. Mimo to jakiś głos w
ciemności monotonnie z białoruską skamle:
„Panie poruczniku, prosza pozwolić ciongnąć
linia...”

Już minęli 70 metrów, dzielące ich od
straszliwej bramki, którą znają z opowiadań
uczestników pierwszego natarcia, od bramki,
przy której stróżował śmierć. Już prze-
kraczają linię naszej obrony, już są „na Szla-
pie”, gdzie po dawnemu waruje 2-ga kompa-
nia 3-go baonu. Za linią stoi nieprzeniknio-
na cisza i noc. A przecież wiadomo, że Niem-
cy zalegają w odległości tylko 70 metrów,
bo stamtąd dolatują czasem ręczne granaty
trzonkowe; że o 25 kroków w zagłębieniu sia-
duje niemiecki podsłuch.

Patrol dzieli się na trzy grupy. Pierwszą
prowadzi plutonowy Gołębiczy. Drugą —
strzelec Wejman, zdegradowany z plutonowe-
go w okresie ostrej walki z wypadkami za
katastrofę wozu, którego był komendantem.
Mimo to powszechnie szanowany, pełnił stale
funkcje plutonowego. Odnaczony Krzyżem

Zasługi z mieczami za Gazalę, odznaczony
Krzyżem Walecznych za Sangro. Wreszcie
trzecią grupę, lewoskrzydłową, prowadził kpr.
Żarlikowski. Jest to zająłby patrolowiec, za
patrolowanie nad Sangro nagrodzony Krzy-
żem Walecznych. Poprzedniej nocy wycho-
dził na wywiad i spenetrował drogę.

Chrześci szuter nakruszony przez ogień
armatni tylu natarć, po tym chrzęszczącym
szutrze idzie się, jakby się stąpało po kon-
taktach łączących z ogniami tuż czyhającymi.
Ludzie są w tej ciemności bezieleśni, niewi-
dzialni. Ich stopy zniżają się ku ziemi z po-
wolnością filmu au ralenti. Czasem nagle tra-
fiają na coś miękkiego, wówczas z dołu tryska
straszliwy zapach rozkładu.

Serce tłucze się, że nie staje tchu; wy-
daje im się, że ciężki oddech, jaki wyrzucają
płuca nie może nie być słyszany przez Niem-
ców. Ręka dotknie czasem idącego obok kole-
gi. By się upewnić, że poza tą nocą jest
realny świat. Jest coś, co ostrym szarpnię-
ciem również przypomina świat niebezpie-
czeństw realnych i natychmiastowych. To
concertina, — drut kołczasty, rzucony luźny-
mi spiralami — uczył się kolan.

I kiedy znieruchomieli, myśląc jak
wybrnąć — świetna seria szpadała leci o
dwa kroki. Jednym susem przesadzają con-
certinę, jednym susem wpadają w dołek, gdzie
siadają podsłuch niemiecki. Niemców w
dołku nie ma. Polacy wskoczyli do niego w
ostatnim ułamku sekundy, bo po serii świet-
nej poszły dalsze.

Spadochroniarze — bo to oni przecież
obsadzają ten odcinek — nie są zupełnie pew-
ni, w którą stronę skierować ogień. Puszczają
rakiety, krótkim blaskiem zalewając ziemie.
Ostre światło tańczy cieniami po gła-
zach — w tym ruchu cieni trudno rozróżnić
przywarę ciała. Wówczas, wysoko na niebie,
zapala się rakietą na spadochronie. W mosię-
nym spadochronie, nad substancją rakiętową
upchany muslin. Otwiera się spadochron jak
parasolik dla lalek. Piękne, błyszczące cacko
wisi na białym muslinie i świeci silnym, rów-
nym, białym światłem, zawieszonym nierucho-
mo, ledwo dostrzegalnie posuwającym się w
dół. Na niebie jest jakowaś hosanna ludziom
dobrej woli, zda się aniołki wraz przylecą i
poczną trzepotać skrzydełkami, a na ziemi —
zagłada wytopionym.

Już o kilka metrów zza głazów pokazały
się sylwetki Niemców. Mają już na muszce
leżących, mają już dystans do nich w poczu-
ciu dłoni zaciskającej granat.

Ale nim zdążyli, już poleciały nasze gra-
naty. Drgnęły Niemcom ręce — rzucili za
długo. Teren tu schronny; byle o parę kro-
ków granat chybił, już odłamki uwieszone po
głazach, nie sięgną.

Zaczyna się walka jak chłop chłop grzmoci
w karczmie. Granatami. Długimi, nieusta-
jącymi seriami broni maszynowej.

Sąsiednie dwie grupy strzelają jak opęta-
ne. Pobudziły się artylerie, ich i nasza, nie
wiedzą dobrze, co i jak — ppor. Figiel nie
może prosić o ogień na niemieckie bunkry,
bo są za blisko. Walą więc działa daleko, aż
w dolinę Liri, charatają się wzajemnie bate-
rie, — „wy za waszych, to my za naszych,
wy w nas, to my w was...”

Idą warkliwe porachunki artyleryjskie,
ale od tego tym tu piechocińcom wcale nie
lżej. Widzą swoje wybuchy, widzą sylwetki
nieprzyjaciół, strzelają, nie nadążają ładować.

Nie mają już strachu, serce pracuje rów-
no, wszystko wiadomo.

I oto — poczyna brakować amunicji.
Przekleństwo broni maszynowej. Elkaemista,
kpr. Czernkowski poskoczył do sąsiedniej
grupy — może dostanie magazynek?

Stary, zaniedbywany przyjaciel — kara-
bin piechoty — dochodzi do głosu. Strzelec
Kozłowski wie, że dużo od niego zależy, nim
odezwie się broń maszynowa. Nie ma czasu
na maskowanie. Grunt — dobrze mierzyć,
celnie trafiać. Unosi się, strzela, stojąc za
głazem. Nagle leci w dół. Podbiega kpr.
Żarlikowski:

— Emil, co ci?

Pochyla się nad Kozłowskim — gorący
strumień krwi, tryskający z siłą, zalewa mu
twarz. Kozłowski ma przebite gardło.

Jeden chwyt — dokumenty z zanadra
zabitego, żeby zaś Niemcy nie rozpoznali.
Drugi — jego niewyrzuconych sześć grana-
tów — skarb bezcenny.

Kpr. Żarlikowski próbuje iść ze swymi
ludźmi do przodu. Spotykają biegnących

granaty, tym razem rzucone dokładnie, i se-
ria szpadała z flanki. Uskakują więc za
załamania. Przycupnęli, oszczędzając grana-
ty. Co będzie?

Ppor. Figiel krzyczy: — Ogień zaporowy!
Obserwator Grudziński działał cały czas
jak w transie. Pamięta, że otwierał stację
(która zaczęła reagować), że łapał jakieś
dalekie głosy, że potem stwierdził, że spada
ogień... że jak przez mgłę uświadamiał sobie:
„Pewno jednak złapali moje wezwanie...”
Pamięta, że posuwał się w trop za ppor.
Figiem... Ale cały ten okres zanurzony jest
w jego pamięci w czarnym morzu nierozezna-
nia.

Od czasu, kiedy mu pamięć dopisuje, wie,
że leżał w rozpadlinie na boku, antenę po-
łożył obok na głązach, aby nie zdradzać po-
łożenia. Pod bokiem czuł coś miękkiego i do-
brze mu z tym było. Sza nawala artyleryj-
ska, więc starał się ograniczać ruchy do mi-
nimum. Tuż za nim padł pocisk, rozprysnął
się literą „V”, dosięgnął jego sąsiadów na
prawo i lewo.

Posłyszawszy z prawej gardłowe: „Jezu!”,
z lewej po chwili: „Co z Wejmanem?” i czyjaś
odpowiedź: „Mózg na skale”.

A to tymczasem Niemcy oceniwszy, że
przeciwnik jest już „zrobiony” dostatecznie,
wybiegli swoim obyczajem ze schronów za
stokiem, do krótkiego przeciwuderzenia.

A już szarzej. Sześć sylwetek niemiec-
kich obchodzi nasze pozycje. Są o 10—15
metrów. Żarlikowski wygarnia cały magazyn-
nek tompona, z grupy jego lecą w Niemców
dwa granaty. Dwóch padło, reszta wsiąkła
w teren.

Na prawo, sąsiednia grupa rąbie frontal-
ny atak Niemców. Wyskakuje dwóch czer-
wonych diabłów, to nasi cekaemiarze, cali we
krwi, stawiają cekaem nad głową — wstrzy-
mali, atak niemiecki załamał się i tu. Obyd-
waj — eksplutonowy Wejman i strzelec Sornek,
który przyszedł do nas z niemieckiego Afri-
ka-Korps, krzyczą: „Rąbnęliśmy Niemca!”
Istotnie — zwiśa ciało Niemca z za bunkru.
Roznamietnieni wychylają się, biją w nich
serca. Wejman spada w dół, uderzając bez-
władną głową o skałę, Sornek łapie się za
przestrzelone ramie.

Ppor. Jędrzejewski, który przez cały czas
flegmatycznie obsługiwał elkaem, biegnie do
Wejmana. Sornik (zwariował chłop!) z nagłą
usiłuje strzelić obcasami, zestawiając okręco-
ne szmatami buty:

— Panie poruczniku, melduję, że mam
przebitą rękę — czy mam się wycofać?

Czaszka Wejmana otwarta, widać mózg.
Ppor. Jędrzejewski bandażuje przy pomocy
kpr. Czernkowskiego, który wrócił z wyprawy
po amunicję z pustymi rękoma.

Niemieckie przeciwuderzenie odparte.
Rozpoczyna się ponowny ogień artyleryjski
gdzieś z północy. Jedna z radiowych stacji
artyleryjskich „Raba 1” (pracuje zespół sied-
miu stacji pod wspólnym pseudonimem „Ra-
ba”) wykryła źródło ognia i nie może się z
„Rabą” — centralną stacją — połączyć: zbyt
nerwowo obie strony — nadawcza i odbior-
cza — manipulują pokrętką częstotliwości i
ciagle się mijają w eterze. Grudzińskiemu
udaje się swoją „Raba-6” złapać zarówno sta-
cję nadawczą, jak i odbierającą centrale. Te-
raz więc „Raba-1” przedyktowuje swój mel-
dunek słowo po słowie i niebawem także i na
niemiecki punkt ogniowy idzie lawina pol-
skiego ognia.

Ze strony niemieckiej odzywa się Klasz-
tor. Już nie ma obawy, że będzie bił po swo-
ich. Plutonowy Gołębiczy rzuca granat dym-
ny i osłania nim na chwilę nasze stanowiska.

Korzysta z tego kpr. Żarlikowski, by po-
biec do Czernkowskiego, który sam nie może
dać sobie rady z Wejmanem, bo ppor. Jędrze-
jewski wrócił do dowodzenia. Wejman jest
serdecznym przyjacielem Żarlikowskiego.
Chwytają bezwładnego za głowę i nogi. Ale
jakże nieść to ciężkie ciało przez głązy i za-
padliny? Zastona dymna, którą na chwilę za-
wiesił granat Gołębiczy, poczyna znikać.

— Cofać się! — woła ppor. Jędrzejewski.
Czernkowski macha ręką, chwytając swój elkaem
i wyskakuje ze składaka (schron ułożony z
kamieni), w którym obaj usiłowali dźwignąć
Wejmana.

Żarlikowski rzuca spojrzenie na rannego.
Wejman dyszy ciężko, rżęzi. Może zdoła wy-
nieść, uchować tlejące życie przyjaciela.

Wytknął głowę ze składaka. Wszędzie wi-
dać wyskakujących Niemców. Opatrunek

przeziąka obficie krwią. Czas nagli... Żarli-
kowski, przypadły do ziemi za płytkim mur-
kiem składaka, nakłada po prostu nowy
opatrunek na dawny — inaczej zobaczyłby
wywalony mózg. Ściąga z rannego oporzą-
dzenie, rozrywa koszulę, wylewa nań wodę z
jego manierki. Wytknął głowę ze składaka
— gdzie nasi?

Krzyczą do niego z bunkra, położonego w
tył w skos o 25 metrów. Kłęcząc przigięty
(bo taka jest właśnie wysokość otaczającej
ścianki składaka), rozwała kamienie ścianki
od strony swoich. Zabiera niewystrzelany
magazynek rannego. Kładzie się na brzuchu,
wciąga rannego na siebie. Będzie się czołgał
jak ślimak z muszlą na grzbiecie. Kładzie swój
tompson jak najdalej przed siebie. Teraz sam
się podciągnie:

— Stasiu, trzymaj się...

Ale Wejman bezwładnie spada na boki.

Wówczas Żarlikowski kładzie się na
wznak, wciąga rannego na siebie — w ten
sposób mógł odpychać się nogami o kamie-
nie i przesuwając się piędź po piędź, równo-
cześnie rękami trzymając rannego. Krwawa
głowa, sącząc krwią po twarzy Żarlikowskie-
go lata na strony i charczy. Co każde 15
cm Żarlikowski przekłada dalej swego tomp-
sona. Co kilka przesunąć spycha sobie ran-
nego między nogi, by złapać więcej tchu
przygniecioną przeponą brzuszna.

Ileż to czasu trwa? Żarlikowski ani wów-
czas nie wiedział, ani teraz powiedzieć nie
może. Poza strasliwym wysiłkiem fizycznym,
cała jego wyostrożona uwaga skierowana była
na jedno: Niemców wprawdzie trzyma w sza-
chu strzałami nasz bunkier, do którego się
czołga, nie mogą więc zrobić wypadu, ale w
miarę cofania się, wychodzi spod zakrycia
składaka i będzie rozstrzelany. Istotnie, kie-
dy odczołgał się już o jakie 15 metrów od
schronu, kiedy nie pozostaje mu już więcej
jak 10 metrów do swoich, staje się widoczny
dla niemieckiego bunkra. Jest już zupełnie
jasno — tuż koło niego idzie seria szpada-
ła. Oczy przesłania mu mgła — stara się ją
przebić, by widzieć, skąd idzie śmierć.

Pełznąć tyłem na plecach, nie widzi swo-
ich i nie może się oglądać. Strzelec Jakub-
cewicz kieruje jego ruchami tak, jak kieru-
je się idącym do tyłu niezdarnym, ślepym
ciężarowcem:

— W prawo... w lewo...

Rannemu spadają bandaże — oczy i usta
Żarlikowskiego zalewa krew i biała masa. To
mózg!...

— Trupa mam na sobie — przelatuje
przez myśl Żarlikowskiemu.

Ale Wejman wciąż charczy. Może będzie
żył?

Żarlikowski szuka nogami kolejnego ka-
mienia, ażeby się odepchnąć. Tu zaczyna się
już gęste rumowisko i teren wznosi się ku
naszemu bunkrowi. Usiłuje więc pchać się
w górę. Nowa seria poszła tuż, tuż po nim
— zar oblał ciało; wysunął się spod rannego
i stoczył się obok za głaz. Schron blisko.
Ale jak wrócić z za głazu pod ten szpadał
i jak ciągnąć?

I zrozpaczony chłopak — przez ten mózg
zamulający usta, przez krew zalewającą oczy
— woła do schronu, do dowódcy:

— Panie poruczniku, czy on może żyć?

Dowódca jest w stosunkowo bezpiecznym
miejscu, nie ma krwi na oczach — niech on
sądzi.

— Zostaw go! — słyszy odpowiedź.

Jeszcze wyciąga rękę do przyjaciela, jesz-
cze namacuje jego dłoń. Ale jest to kostnie-
jąca dłoń trupa**). Wtedy Żarlikowski robi
skok — jest między swymi.

Dopiero dopadłszy bunkra wyjaśnia so-
bie, skąd starczyło kolegom amunicji na tak
gęste przyduszanie Niemców podczas gdy on
się czołgał — oto ppor. Jędrzejewski znalazł
w schronie, którego dopadli, czczerniałego tru-
pa naszego żołnierza, jaki leżał tam przy
ciężkim karabinie maszynowym od czasu
pierwszego natarcia. Na szczęście taśma by-
ła załadowana.

Niemcy ponownie ruszają do przeciw-
uderzenia. Padają, ale przesuwają się kró-
tkimi skokami. Ppor. Figiel żąda przez radio
ognia zaporowego na lewe skrzydło 593.
Otrzymuje go natychmiast. Niemców przy-
tłumiono. Ale ppor. Figiel patrzy tępo i o-
ciera pot z czoła: tam, gdzie teraz położył
ogień, pozostał jego ranny przyjaciel...

Chwilowo względny spokój, zanim do sta-
nowisk niemieckich dojdzie wiadomość, że
już znowu mają gdzie strzelać. Po linii rzu-
cają głosem pytanie: — Jakie straty? Trzech
zabitych i siedmiu rannych stracił patrol ppor.
Jędrzejewskiego.

Jak należało oczekiwać, już moździerze
niemieckie kładą ogień. Przywarowani w
poblizu Niemcy poczynają strzelać z garia-
czy. Granat z garlacha wpada do składaka
ppor. Jędrzejewskiego. Z gęstego dymu wi-
dać tylko wyciągnięte ręce. Słychać krzyk:
„O Jezu!” Opadający dym odśiania ciężko
rannego radio-operatora piechoty. To ósmy
ranny... Przy aparacie zastępuje go inny.
Pyta dowództwo o rozkazy. Ale rozkaz jest
stale jeden:

— Utrzymać stanowisko!

Tak zaczął się dla Karpaciej dzień dru-
giego natarcia.

* Rozdział z przygotowywanej do druku
książki pt. „Monte Cassino”.

** Nazajutrz po śmierci Wejmana przyszła
wiadomość, że Londynu, o przywrócenie mu stop-
nia plutonowego.

JAN BIELATOWICZ

KALWARIA

Pytała mi się Włoszka: „Piaceva voi Italia?”

A w duszy powstał obraz: domek bielony w malwach.

Śpiewała potem Włoszka: „O campagnola bella”,
A mnie się przypomniała prosta, wiejska kapela.

Potem mi wymieniała: Roma, Venezia, Firenze,
A ja widziałem przebite na krzyżu boże ręce.

I kiedy się długo skarżyła, że wojna zniszczyła Italię,
Widziałem w świetle gromów najkrwawszą światła Kalwarię.

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

„BIAŁA KSIĘGA”

I

Obok sprawy ubezpieczeń społecznych*), drugim zagadnieniem, do którego brytyjski rząd koalicyjny przywiązywał dużą wagę, a które również ma charakter długofalowy, jest sprawa pełnego zatrudnienia (full employment policy). Wiąże się ono z wojną o tyle, że po jej zakończeniu, wraz z przestawieniem produkcji na cele pokojowe, trzeba będzie robotników zwolnionych z przemysłu wojennego zatrudnić w innych gałęziach wytwórczości. Właściwa jednak polityka pełnego zatrudnienia przekracza daleko w czasie bezpośredni okres powojenny i dlatego też wysunięcie nowych projektów świadczy, na równi z planami ubezpieczeń społecznych, o podejmowaniu przez rząd koalicyjny nie tylko bezpośrednich zadań wojennych, ale i głębszych reform angielskiego życia społecznego.

Chronologicznie rządowy projekt pełnego zatrudnienia jest nawet wcześniejszy od projektu ubezpieczeniowych, gdyż na ten temat ogłoszono Białą Księgę już na początku czerwca 1944 r. Należy jeszcze dodać, że Sir William Beveridge przygotował ze swej strony 400-stronicowy raport o środkach zwalczania bezrobocia i że po wydaniu Białej Księgi odbyła się w ub. r. w Izbie Gmin bardzo charakterystyczna debata.

Projekt rządowy, tak jak go przedstawia Biała Księga, stanowi niewątpliwie kamień milowy gospodarczej historii Anglii. Po raz bowiem pierwszy rząd przyjmuje na siebie śmiało i świadomie odpowiedzialność za dostarczenie pracy obywatelom. We wstępie do deklaracji rządowej ujęto to w następujących słowach: „Rząd uznaje za jeden ze swych głównych celów i za swą pełną odpowiedzialność utrzymanie wysokiego poziomu zatrudnienia po wojnie”. Dalej zaś czytamy: „...Całość środków tutaj zaproponowanych nigdy jeszcze nie była systematycznie zastosowana jako część polityki gospodarczej jakiegokolwiek rządu. W tych sprawach będziemy pionierami”.

Ta nuta pochwały, wypowiedzianej pod własnym adresem, jest w pewnej mierze uzasadniona tym, że żadna demokracja nie pokusiła się jeszcze o tak pełne rozwiązanie problemu bezrobocia, jak to obecnie pragnie uczynić Anglia. Niemcy i Rosja opanowały bezrobocie, wiadomo jednak jakim kosztem ludzkiej wolności. Anglia wybiera drogę o wiele trudniejszą od systemów totalitarnych, gdyż przy zachowaniu zasadniczych wartości demokratycznych usiłuje uregulować problem społeczny, wobec którego najłatwiejszą postawą jest totalistyczna gospodarka i wprowadzenie kontrolowanego przez państwo przymusu pracy.

Podstawowe zalecenia Białej Księgi są następujące:

1. Chociaż projekt rządowy zajmuje się w zasadzie sprawami polityki wewnętrznej, to jednak jest jasne, że wysoki poziom zatrudnienia wiąże się z ekspansją eksportu brytyjskiego. Podniesienie wywozu do poziomu przedwojennego i ewentualne przekroczenie tej granicy nie będzie możliwe bez ogólnej stabilizacji gospodarczej w świecie. Dlatego też ważnym punktem polityki zatrudnienia jest konieczność współpracy z innymi państwami na polu ekonomicznym. Jako dowód odpowiednich intencji rządu, Biała Księga cytuje szereg umów międzynarodowych, jak np. Kartę Atlantycką, angielsko - amerykański pakt wzajemnej pomocy, przyjęcie postanowień z Hot Springs i też wysuniętych przez Międzynarodowe Biuro Pracy.

2. Projekt zajmuje się szczegółowo okresem przejściowym od wojny do pokoju, zawierając propozycje planowej demobilizacji i utrzymania w tym okresie aparatu kontroli wraz z racjonowaniem dóbr konsumpcyjnych. W tym samym czasie ma też obowiązywać pewna hierarchia wytwórczości: po pierwsze — eksport, po drugie — zaspokojenie podstawowych potrzeb ludności cywilnej, po trzecie — ekwipunek przemysłowy.

3. Projekt rządowy przewiduje również wpływ państwa na rozmieszczenie terytorialne przemysłu i siły roboczej. „The Economist” uważa to postanowienie za najlepsze osiągnięcie całej Księgi. Jako zasada ma obowiązywać kierowanie warsztatów przemysłowych do gestu zaludnionych okolic, rozporządzających rezerwą rąk roboczych. Ponadto rząd będzie uprawniony do akcji negatywnej, również regulację rozplanowanie przemysłowe Anglii. Tak np. władze rządowe będą mogły zakazać budowy fabryki np. w Londynie, sugerując równocześnie przedsiębiorcy jakiś inny obszar np. w północnej Walii.

Przewidywane „sterowanie” przemysłem nie zmniejszy jednak zapotrzebowania ruchliwej siły roboczej, którą można by przerzucić z jednej gałęzi produkcji do drugiej. Wspomnianą „mobility of labour” projekt zamierza osiągnąć przez rozwój wykształcenia zawodowego i udzielanie specjalnych zapomóg na naukę w wymiarze wyższym od zasiłku bezrobotnego, niższym zaś od pełnego zarobku robotnika. Rząd ma również zatroszczyć się o zbudowanie zakładów energii elektrycznej w przewidzianych przez projekt „obszarach rozwojowych”, oprócz tego zaś założyć odpowiednią sieć komunikacyjną, zapewnić konieczną liczbę domów mieszkalnych i nawet budować fabryki, które byłyby następnie odsprzedawane prywatnemu przedsiębiorcy.

4. Projekt przewiduje również popieranie prywatnych inwestycji przez odpowiednią politykę dyskontową i podatkową.

5. Rząd będzie odpowiedzialny za właściwą politykę robót publicznych. Ma obowiązywać zasada, że w latach depresji gospodarczej władze powinny zwiększać wydatki na roboty publiczne.

6. Rząd różnymi środkami ma zapewnić utrzymanie siły nabywczej w szerokich rzeszach konsumentów.

7. Dla uniknięcia inflacji ma zostać przeprowadzona stabilizacja cen i płac, co pociągnie za sobą stosowanie ograniczeń podobnych do tych, jakie obowiązywały w okresie wojennym.

8. Rząd będzie zwalczał tendencję ograniczania produkcji przeciwstawiając się zwłaszcza umowom kartelowym, które ograniczają wytwórczość dla podniesienia cen.

Tak wyglądają w skrócie tezy Białej Księgi. Przeprowadzona nad jej projektami debata parlamentarna skupiła się wokół trzech głównych tematów. Złożyły się na nie: sprawa ogólnej polityki finansowej, stosunek eksportu do zatrudnienia oraz zasadnicze zagadnienie polityczne: kto ma być właścicielem przemysłu — państwo czy jednostka? Obok tego zwracano również uwagę na znaczenie postępu technicznego w produkcji, co z kolei wywołało namiętną dyskusję na łamach prasy.

„The Economist” krytykował debatę parlamentarną, twierdząc, że nie stanęła ona na wysokości zadania i że teoretyczne uwagi zajęły miejsce praktycznych wskazań. Rząd, zdaniem „The Economist”, przedstawił praktyczne środki zwalczania bezrobocia, tymczasem posłowie zamiast wypowiedzieć się o ich celowości, tracili czas na zastanawianie się, czy przemysł ma pozostać własnością prywatną, czy też podstawowe działy produkcji mają zostać przejęte przez państwo. Jako argument przemawiający za pominięciem tego pytania w obecnej fazie dyskusji, pismo cytowało oświadczenie ministra pracy, Bevin (socjalista), który zaznaczył imieniem rządu, iż Biała Księga nie przeszkadza późniejszej zasadniczej decyzji w sprawie własności zakładów przemysłowych. Bevin zastrzegł się wyraźnie, że postanowienia Białej Księgi będą obowiązywać bez względu na to, do kogo przemysł będzie należeć. Dziś wysunięty wówczas problem stał się jednym z głównych hałów wyborczych Labour Party, dążącej do upaństwowienia banków, kopalni i kolei.

Dalsza krytyka „The Economist’a” wykazywała, że nie rozpatrzono należycie ważnego tematu ulepszenia procesu produkcji. Troszczyć się o regularność dochodu narodowego i o zapewnienie sprawiedliwego jego rozdziału, pominięto, według uwag „The Economist’a”, trzeci zasadniczy czynnik dobrobytu, tj. zwiększenie dochodu.

II

Omówione wyżej reformy socjalne nie ograniczają się do bezpośredniego okresu powojennego, sięgając o wiele głębiej i zapowiadając istotne przemiany w życiu narodu. Obok nich warto jednak poświęcić kilka słów także projektowi, który już blisko od roku stał się obowiązującą ustawą w Anglii. Jest to tzw. Town and Country Planning Bill. Referent ustawy, minister Morrison, jedna z czołowych postaci w Labour Party, określił ją w parlamencie jako „epilog do stanu wyjątkowego”. Jak wiadomo, stan wyjątkowy, ogłoszony po wybuchu wojny, pozwolił rzą-

dowi na różne energiczne posunięcia, w związku z którymi zawieszono pewne prawa obywatelskie uważane za pewnego rodzaju świętość w kraju demokratycznym. Wspomniany bill miał być ostatnim drastycznym krokiem zrobionym w imię wyższego interesu państwowego. Jest on próbą zabezpieczenia społeczeństwa przed spekulacją terenami budowlanymi, jaka groziła go zakończeniu wojny. Ponadto ustawa zamierzała uregulować pracę nad odbudową obszarów, zniszczonych podczas blitzu.

Celowość odbudowy wymaga, ażeby pewne tereny zachować dla celów użyteczności publicznej, podporządkować podział gruntów między poszczególnymi właścicielami nowym planom i pogodzić ścierające się sprzeczne interesy. W związku z tym, ustawa przyznaje rządowi dwa uprawnienia: prawo przymusowego wykupu gruntu oraz stosowania uproszczonej procedury. Obok tego należy określić cenę, płaconą za wywłaszczoną ziemię, i zabezpieczyć pomoc finansową z państwowych funduszy dla miast i okolic, które były szczególnym celem nieprzyjacielskich ataków. Wszystkie te sprawy mają rozstrzygnąć udzielone rządowi przez ustawę szerokie pełnomocnictwa.

Drugą ustawą, podejmującą zbliżone zadania, jest tzw. Emergency Housing Bill, przewidujący budowę tymczasowych seryjnych domów mieszkalnych, mających pomieścić miliony zdemobilizowanych żołnierzy i ich rodziny. Trzeba jeszcze wymienić projekt reformy oświaty tw. Fleming Report on Public Schools i uchwalone już projekty o zaopatrzeniu zwalnianych z wojska żołnierzy w ekwipunek cywilny i pieniądze.

III

Podany tutaj przegląd zamierzonych reform społecznych świadczy o poważnej ewolucji, jaka dokonywa się w Anglii, niegdyś fortecy kapitalizmu i liberalizmu. Jedną z jej przyczyn jest niewątpliwie okres wojenny. Wojna jednak, tłumacząc pojawienie się nowych potrzeb, lub wzmocnienie starych, albo też konieczność takiej organizacji społeczeństwa, która dawałaby najwyższą wydajność wysiłku wojennego, nie wyjaśni jeszcze szerokiego dążenia do zmiany stosunków społecznych, jakie niewątpliwie w Anglii się wyczuwa. Nie można również przypisywać rozpoczętych reform tylko obecności socjalistów w rządzie, w którym pierwsze skrzypce pozostawały jednak w rękach konserwatystów. Ale i konserwatyści rozumieli, że należy wprowadzić zmiany w istniejącym stanie rzeczy i usunąć przynajmniej najbardziej rażące anomalie, jak np. przestarzały system oświaty publicznej, brak ogólnopaństwowej opieki nad człowiekiem chorym i niezdolnym do pracy. W tym dziele z konserwatystami współpracowali socjaliści, nie rezerwując wyłącznie sobie tytułu reformatorów społeczeństwa. Oczywiście, program wyborczy Labour Party idzie znacznie dalej, za czasów jednak koalicyjnego rządu umiano cenić konkretne i szybkie osiągnięcia.

Z drugiej strony nie można też przypisywać całej zasługi reform wyłącznie konserwatystom. Konserwatyści mogliby wprawdzie działać w myśl starej zasady, że należy realizować plany będące hasłem opozycji i zapisywać je na własny rachunek dla osiągnięcia w przyszłości wyborczych sukcesów. Przewodnictwo Churchilla mogło być ułtwić konserwatystom podobną grę, program jednak reform wynikał w istocie rzeczy nie tylko ze

zrozumienia pewnych konieczności politycznych, ale i z przeświadczenia, że Anglia powojenna znajdzie się w nowym świecie, gdzie będzie posiadać nowe zadania, do których też należy przygotować się w sposób zrywający z częścią dotychczasowych tradycji.

Nie brakowało oskarżeń, wysuwanych z kół lewicowych, że konserwatyści, czyniąc powolne koncesje, zamierzają w ten sposób uchylić się od zasadniczej przebudowy ustroju społecznego. Lewica starała się udowodnić, że reformy, noszące markę rzekomo postępowych, zawierają przeważnie takie postanowienia, które w istocie rzeczy będą chronić konserwatywne, kastowe interesy.

Labour Party posiadała wiele szans wejścia do wyłącznych rządów po wojnie wskutek możliwego zwrotu opinii publicznej. Dziś, gdy Churchill w nieoczekiwany dla labourystów sposób przyspieszył wybory, socjaliści zmuszeni są do wysuwania hasła, często radykalniejszych, niż zamierzali, gdyż większość reform realizował rząd niesocjalistyczny. Oczywiście, pozostają dla socjalistów jako cel walki wyborczej nierozstrzygnięte sprawy zasadnicze, jak upaństwowienie przedsiębiorstw użyteczności publicznej, przemysłu zbrojeniowego i sprawa własności ziemi.

Ważną wskazówką, jeśli idzie o nastroje opinii angielskiej, są ogłoszone swego czasu zalecenia Rady Głównej Związków Zawodowych w związku z rekonstrukcją powojenną, w których m. in. powiedziano, że „nie tylko ruch związków zawodowych uznaje ważność pewnego stopnia kontroli publicznej nad przemysłem i handlem”. Nie brzmi to zbyt rewolucyjnie.

Członkowie Trade Unions nie są wojującymi doktrynerami socjalizmu. Są to robotnicy, którzy walczą o konkretne przywileje i często przekładają praktyczne osiągnięcia nad zasadnicze zmiany, których rezultatów nie można z góry przewidzieć. Przeciwny robotnik angielski chce przede wszystkim mieć pracę i otrzymywać za nią wynagrodzenie, dające mu możliwość zachowania standardu życiowego, do którego jest przyzwyczajony, i kształcenia dzieci. Przy tym pragnie czuć się bezpiecznym przed bezrobociem, chorobą i skutkami kalektwa. Jeśli te warunki są spełnione, sprawa własności przedsiębiorstwa, w którym pracuje, schodzi na dalszy plan. Oczywiście, dla teoretyków socjalizmu takie postawienie sprawy jest niewystarczające, toteż tygodniki lewicowe nieraz dawały wyraz swemu niezadowoleniu z powodu „letniej wody” rezolucji Trade Unionów. Tym niemniej trzeba pamiętać, że Związki Zawodowe są podstawą Labour Party, będącej organizacją czysto polityczną.

Stare przyswójcie mówić, że każdy naród ma taki rząd, na jaki sobie zasłużył. Program reform, popierany dotąd przez konserwatystów, jest w większej mierze potwierdzeniem tej uwagi, niż wynikiem międzypartyjnych kompromisów. Koalicyjny rząd Churchilla wyczuwał, jakie prądy nurtują społeczeństwo i zdawał sobie sprawę z gotowości klasy średniej przyjęcia zmian, idących po linii gospodarki planowej. Również i element robotniczy nauczył się podczas tej wojny myśleć o wiele bardziej kategoriami interesu narodowego, niż tylko własnej klasy.

Historyk angielski, A. L. Rowse, pisze o tym zjawisku: „Mamy w naszym kraju piękną tradycję osiągnięcia postępu społecznego stopniowo i rozumnie, drogą ugody. Jako historyk, wierzę mocno w naszą własną sposobność osiągnięcia pomyślności według naszej koncepcji: ani całkowicie indywidualistycznych, ani też totalitarnych; ani całkowicie socjalistycznych, ani też zachowujących w pełni dawną swobodę przedsiębiorczości prywatnej. Z każdego typu organizacji społecznej chcemy wydobyc to, co jest najlepszego, zbliżając do siebie różne elementy i patrząc co stał w praktyce wynika. Istotą naszej tradycji jest, że łączymy ona popieraną przez państwo postępowość społeczną z utrzymaniem wolności jednostki”.

Gdyby szukać głębokich, psychologicznych przyczyn owej angielskiej tradycji tolerancji i osiągnięcia złotego środka, można by przypisać raczej tym, którzy uważają, że pochodzi ona w krajach anglosaskich z połączenia doktryn postępu społecznego z sentymentami religijnymi i głoszoną przez chrześcijaństwo miłością bliźniego. Kraje bowiem anglosaskie, w przeciwieństwie do kontynentu, nie wiązały nigdy sprawy postępu z antykatolicyzmem. Gdy kiedyś kontynent tonął w wirze wojen religijnych, Anglia zdobywała się już na tolerancję. Tolerancja kontynentalna była raczej wynikiem obojętności religijnej. W Anglii doszło do stanowiska odwrotnego: trwanie przy własnej wierze pozwoliło na tolerancję wobec innych. Wybitny pisarz i filozof angielski, Bertrand Russell, w wygłoszonym niedawno przemówieniu radiowym stawiał tezę, iż żaden inny naród nie jest tak zjednoczony wewnętrznie, jak naród angielski. Rozwinięta w wielkim stopniu wzajemna tolerancja oraz brak skłonności do stosowania gwałtu zamiast urn wyborczych jest, zdaniem Russella, gwarancją, że Anglia potrafi przeprowadzić wymagane przez długi czas reformy i stanąć na czele ruchu postępowego, ochraniając jednak podstawowe prawa jednostki. „Dwa stare hasła liberałów: wolność i tolerancja — mówił Russel — nie straciły swego znaczenia, chociaż, w nowych okolicznościach, trzeba dla nich znaleźć nowe zastosowanie”.

Jan Lechoń

PANI MARIA

(Dokończenie ze str. 1-jej)

właśnie przez oddanego jej miłością całego życia Arnolda Szyfmana, ów rejestr trzydziestu lat pracy, rolę we wszystkich dziedzinach współczesnego i najlepiej współcześnie słuchanego starego repertuaru — jest sam przez się barwną, pełną czaru i poezji historią naszego teatru, odzwierciedlającego żywioł i bezpośredniość, niż inne sztuki, nie tylko ważne i przypadkowe odmianny gustów, ale również sposobów bytowania i czucia.

Przez żadną inną, poza Ireną Solską, niezrównaną w sztuce aktorskiej, a ileż od niej bardziej bezpośrednią, czułą, kobiecą, gra Przybyłko w tym czasie nie tylko rolę z właściwych jej rodzajów, ale wszystkie dramatyczne i liryczne heroiny od sensacyjnego melodramatu w stylu „Kobiety, która zabiła” poprzez panią Elinę w „Wachlarzu lady Windmeere”, Helenę z „Kochanków” Grubińskiego, Helenę de Trevillac z „Ładnej Historii” de Flersa i Caillaveta do Aliny z „Ballady”, Wielkiego kramu” Shawa, „Damy kameleowej” i wielkich ról szekspirowskich.

Umiejętność jej sięga wtedy takich szczytów, indywidualność tak wyraźnie we wszystkim się zaznacza, że w każdej niemal z tych ról jest Przybyłko wzorem aktorstwa, w każdej zdumiewa bogactwem akcentów, głębią przeżycia. Do końca przecież płaszczy królewski będzie na jej pięknych ramionach tylko kostiumem, patetyczną deklamacją zawsze będzie u niej tylko cudowną szkołą. I przy tylu tryumfach, tylu rolach brawurowych „Paryżanka” Becque’a, grana w parę lat po poprzedniej wojnie — będzie tryumfem najbardziej własnego rodzaju Marii Przybyłko i zachwyci nas czarem nieporównanego jej liryzmu, tego samego, który opromieniał pierwsze lata jej scenicznych tryumfów.

Cierpiąca od lat wielu, póki mogła, sięgała Przybyłko po nowe zadania aktorskie, stwarzając na parę lat przed wojną w dwu rolach karkołomnych wzorów, głęboko przeżytych kreacji; jedną z nich była główna postać kobieca w „Asmodeuszu” Mauriaca, drugą George Sand w sztuce Iwaszkiewicza.

Nie nadając sobie żadnego stylu bycia, nie grając żadnej w życiu gwiazdy, oddana tylko teatrowi i zdrowym przyjemnościom przyjacielskiego towarzystwa i zagospodarowanego dostatku — była Przybyłko szanowaną przez wszystkich i jako hierarchia najwyższa nigdy nie podawana w wątpliwość, pierwszą damą polskiego teatru. W świecie przesadnej poufałości i kameraderii, w którym wszyscy mówili sobie po imieniu, była Przybyłko dla wszystkich, nawet dla męża swego Arnolda Szyfmana „panią Marią”, nigdy nie dopominającą się o pierwsze miejsce — bo było ono dla niej zawsze przeznaczone.

Zginęła wraz z Warszawą, w dniach najbardziej swobodnego jej porwy, jesienią, pełną złudnych wiosennych nadziei.

Grób jej jest może nieznany, na pewno ubogi, żadna nie pogażała jej żaloba, która by była jakże głęboka w zwykłym czasie. Ale w świecie uludy tak na pozór przelotnej a tyle rodzącej twórczych legend — na zawsze zostanie ciepły dźwięk jej głosu, czar jej uśmiechu, urok mówionych przez nią słów, naprawdę z głębi serca płynących. Będą one i.a. zawsze mówić o wielkiej artystce, która wypowiedziała wszystkie tęsknoty i uczucia kobiety swego czasu, która przez sztukę swą i poezję uczyniła królewskim to co uchodziło za zwykłe i codzienne.

*) Por. artykuł „Ku czemu idzie Anglia?” w nr. 9 (51).

WIKTOR WEINTRAUB

LIST Z LONDYNU

Okrucieństwa niemieckie

Szwec, któremu oddawałem buty do podzelenia, zobaczywszy na stronie gazety, w jaką buty były opakowane, zdjęcie z Buchenwaldu, wybuchnął przekleństwami. Kolo Victoria Station tłum demonstrował przeciwko jeńcom niemieckim. W „busach” czy w „undergroundzie” można często słyszeć strzępy rozmów o Belsen, Buchenwaldzie czy Kramerze. W popularnych gazetach wieczornych pojawiły się wielkimi czcionkami hasła „Nie wolno nam zapomnieć! Nie wolno nam przebaczyć!” — „Lest we forget! Lest we forgive!” Zaroiło się też w gazetach i tygodnikach od listów na temat zbrodni niemieckich. Są takie, które świadczą, że ich autorzy pod wrażeniem rewelacji z Buchenwaldu i in. obozów stracili równowagę umysłową: jeden z listów przynosił np. propozycję sterylizacji wszystkich Niemców. Były i listy naiwne, jak np. projekt, ogłoszony bodaj, że w *Evening Standard*, aby chłopców z *Hitlerjugend* wychowywać wśród angielskich skautów. W prasie lewicowej były też próby ratowania *malgré tout* koncepcji „dobrych Niemców”. Jeden ze współpracowników socjalistycznego *Daily Herald* twierdzi, że zestawiał zdjęcia oprawców z Buchenwaldu z albumem fotografii zwolenników Sir Oswalda Mosley’a. Zestawienia te doprowadziły go do przekonania, że angielscy faszyści, gdyby ich tylko dopuścić do władzy, byłiby zdolni do popełniania takich samych zbrodni, jakimi wsławił się hitlerowcy.

Mimo jednak wszystkie wykołowania, a raczej i poprzez nie, ten wybuch spontanicznego oburzenia jest objawem zdrowym i głęboko pociesającym. Świat współczesny jest bowiem tak ponury nie tylko z powodu tych wszystkich okropności, jakie są na nim popełniane. Ponury jest on i dlatego, że reakcja moralna opinii publicznej na te wszystkie okropności jest zadziwiająco blada, niemal żadna. Fakt, przez to samo już, że jest faktem, stał się dla opinii święty i nietykalny. I stanowisko takie charakteryzuje nie tylko polityków, w których może być ono — ale nie musi — cnota realizmu, ale także i kierowników opinii publicznej: pisarzy i publicystów, w których oznacza ono kapitulację z zasad.

Dlatego ten spontaniczny i bezinteresowny wybuch oburzenia tak oczyszcza atmosferę. Bezinteresowny, — bo dziś właśnie, kiedy, jakby na to wskazywała polemika Aleksandra z Erenburgiem, nie jest wcale wykluczone, że Rosjanie zaczęli wygrywać kartę obrońców Niemiec, takie stanowisko angielskiej opinii publicznej jest raczej dla polityki brytyjskiej krepujące i utrudnia jej swobodę ruchów.

V — Day

Oficjalnego ogłoszenia końca wojny spodziewano się w Londynie już od kilku tygodni, a w maju nie było już dla nikogo tajemnicą, że to tylko kwestia dni. A kiedy w poniedziałek, siódmego, gazety rano przyniosły wiadomość, że „być może” w ciągu dnia należy się spodziewać ogłoszenia końca działań wojennych, nikt nie miał wątpliwości, że wojna jest już właściwie skończona. Zaczęło się wywieszanie flag.

Wczesnym popołudniem przyszła wiadomość o kapitulacji Doenitz’a. Zrozumiano, że już po wojnie. Po mieście rozeszła się pogłoska, iż Churchill będzie o szóstej przemawiał przez radio i oficjalnie ogłosi jej koniec. Na ulice wyległy tłumy. Był nastrój świątecznego podniecenia. Ale przyszła szósta — i nic. Tak samo bez żadnej oficjalnej zapowiedzi przeszły następne dwie godziny. Ulicę londyńską naszło coś w rodzaju antyklamaksu. Nastroje okłapy, ludzie zaczęli rozchodzić się po domach.

Dopiero o dziewiątej wieczorem przyszła przez radio wiadomość, że V-Day będzie jutro, we wtorek, i że we wtorek Churchill ogłosi oficjalnie zakończenie wojny. Z zapowiedzi tej ludzie — bardzo logicznie — wywnioskowali, że wojna skończyła się w poniedziałek. Ze zatem już w poniedziałek należy obchodzić jej koniec.

Kiedy po dziesiątej wieczorem znalazłem się na Piccadilly — cała ulica — i jezdnie i chodniki — zalana była tłumem ludzkim. Tłum ten od czasu do czasu formował się w coś w rodzaju pochodu, który bardzo łatwo rozsypany był w beksztaltną masę ludzką, aby potem przy łada okazji znowu zabawić się na chwilę w maszerujący szeregi pochodu. Tu i ówdzie słyszano się jakieś śpiewy, ale najczęściej ludzie dawali wyraz swojej radości po prostu hałasując i krzycząc. Co chwila podrywał się z tłumu jakiś krzyk, zawsze podejmowany przez chętnych. Niewprawne ucho cudzoziemca nie bardzo chwytalo, co taki krzyk znaczył, — raczej był chyba po prostu samym dla siebie „czystym” wyrazem radości. Sporo ludzi wywijało grzechotkami. Gdzieś nie gdzie, w miejscu gdzie tłum rzedniał, próbowano tańczyć. Słowo „taniec” nie jest tu zresztą najszybszym określeniem: po prostu kilkanaście osób brało się za ręce i pokrzykując, kręciło się w kółko.

Cały ten tłum robił wrażenie rozbawionych dzieci. Szczególnego charakteru nadawała temu fetowaniu ta okoliczność, że na ulicy było bardzo ciemno. Jakkolwiek blackout już kilka tygodni temu zniesiono, to jednak oświetlenie ulic jest bardzo skąpe, według oficjalnego, a raczej przesadnie optymistycznego, określenia „księżycowe”.

W tłumie przeważały kobiety. Sporo było dziewczyn w wielokolorowych papierowych czapkach z napisami „Nie jestem aniołem”, „Skosztuj mnie”, „Pocałuj mnie”. Ale i bez takiej zachęty atmosfera w tej ciemnej, dusznej i najczochliwej ulicy nasyciona była erotyką. Tylko co skromniejsze pary obcalowały się po wnekach, albo po bramach.

Następnego wieczoru — już w oficjalny dzień zwycięstwa — zabawa miała charakter gwałtowniejszy, bardziej nieskoordynowany. Ludzie mieli za sobą już cały dzień picia, sporo było na ulicy pijanych i mężczyzn i kobiet, i ci pijani nadawali jej specjalnego charakteru.

Tego wieczoru zanosło mnie przed Pałac Buckinghamski. Wielki plac przed pałacem wypełniony był tłumem, ale charakter tego tłumy był już inny: był to tłum elegantszy, bardziej „inteligentki” i spokojniejszy. Od czasu do czasu ktoś krzyczał „We want King”, „We want Georges” i wtedy tłum podchwytując okrzyk, przez kilka chwil go skandując. Ale

w ciągu tego czasu, który przestałem przed pałacem, — król się nie pokazał.

Pojawienie się rodziny królewskiej na balkonie Pałacu Buckinghamskiego oglądałem już potem, w kinie. I oto rzecz ciekawa, obiektyw operatora filmowego złapał akurat ten moment, kiedy król czegoś się zagapił, przestał wymachiwać w kierunku tłumu ręką, a młodsza córka, księżniczka Małgorzata, szturchając go w bok, przypomina mu o jego monarszych obowiązkach.

Wbrew potocznemu pojęciu o Anglikach taką pogardę dla wszelkiego ceremoniału, etykiety — obserwowało się na każdym kroku. Wysokich oficerów można było widzieć siedzących na krakewnikach chodników w towarzystwie szeregowców i z takiego punktu obserwacyjnego przyglądających się zabawie. W tydzień zaś po zwycięstwie większość gazet przyniosła na pierwszej stronie wielką fotografię zwycięskiego wodza, który tylko co wrócił z Niemiec do kraju, — popularnego Monty’ego. Fotografia przedstawia marszałka Montgomery’ego, siedzącego na leżaku w wojskowych spodniach i — cywilnej marynarce. Tak wygląda galowy mundur marszałka Montgomery’ego. Na froncie bowiem, — jak to każdemu chyba z dodatków filmowych wiadomo — Montgomery bił Niemców, ubrany w sweter.

I jeszcze jeden rys tego obchodu zwycięstwa warto podnieść. Nie było żadnej parady wojskowej. Jeden z posłów, kpt. Gammans, zainterpolował nawet z tej okazji Churchilla. Churchill odpowiedział mu, że „okres świętowania zwycięstwa już minął i że teraz trzeba wrócić do trudnych i nieprzejmionych zadań, przede wszystkim do pomocy Japonii”.

Stosunkowo mało też było pompy i dętych słów w komentarzach prasowych, charakteryzujących zwycięstwo. Przeciwnie, najpoważniejsze z nich, złożony należną daninę poświęceniu, solidarności i poczuciu patriotyzmu, jakich dowody dali Anglicy w tej wojnie — podkreślały wielką rolę przypadku, szczęścia czy Opatrzności w osiągnięciu zwycięstwa.

„Są wielorakie przyczyny — pisał w *Nineteenth Century and After* Voigt — dla najgłębszej wdzięczności, iż Wielka Brytania i Imperium zostały ocalone. Zostały one ocalone przede wszystkim dzięki charakterowi narodu... Ale — ciągnie Voigt dalej — zawdzięczamy nasze ocalenie również dobrze także i czemu innemu jeszcze: szczęściu, wyjątkowemu szczęściu. Przez szczęście rozumiemy pomyślny zbieg okoliczności, które są poza możliwością przewidywania i poza kontrolą. A najważniejszymi z tych okoliczności były błędy, popełniane przez nieprzyjaciela”.

A w pięknym artykule wstępnym *Economista* z 5 maja czytaliśmy: „Opatrzność jednak dostarczyła raczej sposobności niż gotowych zwycięstw, i najlepszym hołdem, jaki można spłacić ludziom, kierującym wojną Wielkiej Brytanii, jest, iż nie opuścili oni żadnej sposobności, jakich im dostarczyły liczne błędy nieprzyjaciela”.

Wśród tych ludzi, „kierujących wojną Wielkiej Brytanii” *communis opinio* na pierwsze miejsce wysunęła bezapelacyjnie jednego człowieka — Churchilla. Uczucie ogółu najbardziej i najprościej wypowiedziała karykatura Lowa: przed-

stawia ona Pitta i Lloyd George’a, wciągających Churchilla na cokół pomnika z napisem: „Britain’s Greatest War Prime Ministers”.

Dnia 15 maja wreszcie w obu Izbach miały miejsce z okazji zwycięstwa demonstracje holownicze dla króla. Królowi składał Parlament hołd, królowi nie tylko jako symbolowi jedności Imperium. Pogarda niebezpieczeństw, jakiej para królewska złożyła dowody, objęddając w okresie blitzu bombardowane okrygi Londynu, zjednała jej w masach angielskich ogromną popularność. Toteż w Izbie Gmin okolicznościowe przemówienie wygłosił nie tylko premier Churchill, ale m. in. także i przywódca labourystów, Greenwood. Warto tu przytoczyć fragment z tego przemówienia „socjalisty Jego Królewskiej Mości”. Trzeba go jednak przytoczyć w oryginale, przekład bowiem nie oddałby tego smaku, — zbyt republikańska jest na to współczesna polszczyzna. Oto ten cytat, przytoczony za *Times’em*:

„We are all agreed, I think, that on this very historic occasion it is right that this House, which is part of the King in Parliament, should express its view and its thanks to his Majesty and his gracious Consort for the part they have played, a very generous, heavy and responsible part in this war”.

Duch Banca

Spółród gazet, jakie miałem w ręku, jedynie wieczorne *Evening News* podkreśliły, że dla Polaków dzień zwycięstwa jeszcze nie nadszedł. Nie potrzebna było komentarzy, wyjaśniających dlaczego: równocześnie niemal z wiadomością o kapitulacji Niemiec przyszła inna, szczególnie jaskrawe światło rzucająca na tragedię narodu polskiego, wiadomość o aresztowaniu przez Rosjan Delegata Rządu, ministrów, gen. Okulickiego i członków Rady Jedności Narodowej, którzy udali się na rokowania do Moskwy.

„Polska jest w San Francisco. Duch Banca zjawiał się wśród uczujących” — takimi słowami rozpoczął socjalistyczny *Daily Herald* artykuł, komentujący wiadomość o aresztowaniu przez Rosjan polskiej delegacji. Radykalnie lewicowa *Tribune* podnosiła, iż areszty wydobły znowu na światło dzienne zmore osławionych procesów moskiewskich z 1937 r. Równie mocne były komentarze prasy liberalnej i konserwatywnej.

A jednak — powiedzmy sobie otwarcie — to, co najsilniej wstrząsnęło angielską opinią publiczną na wiadomość o tym aresztowaniu, — a komentarze były takie, że można mówić o wstrząsie, — to był nie tyle tragiczny los narodu polskiego, jaki się poprzez te areszty szczególnie jaskrawo uwidatnił, ile ta okoliczność, że podobne postępowanie Rosjan rzuciło głęboki cień na możliwości dalszej, pokojowej współpracy anglosowieckiej.

Wszelka współpraca zakłada istnienie przynajmniej w najelementarniejszym zakresie jakiegoś wspólnego języka, jakiegoś kompleksu wspólnych pojęć, które mogłyby być płaszczyzną porozumienia. Tymczasem aresztowanie w brutalny sposób podkreśliło przeciwieństwa w zakresie najelementarniejszych, najbardziej podstawowych zasad międzynarodowego współżycia kulturalnych

narodów. Już przedtem szereg posunięć polityki sowieckiej było dla brytyjskich zwolenników ścisłej współpracy anglosowieckiej kłopotliwą zagadką, której nie umieli rozwiązać. Ten jednak wypadek stawiał sprawę szczególnie brutalnie i jaskrawo.

W dodatku, ponieważ Anglicy pośredniczyli w nawiązaniu kontaktów z Rosjanami i dostarczali Rosjanom informacji o politykach polskich, sprawa losu aresztowanych ludzi jest równocześnie sprawą ich dobrego imienia.

Zakłopotanie, wywołane w politycznych kołach brytyjskich zachowaniem się Rosjan, najciekawiej może ujął lord Winterton w artykule, ogłoszonym w *Sunday Chronicle* pt. „Dlaczego członkowie parlamentu mało mówią na temat Rosji?” Artykuł jest dla nas w konkluzjach swych nieprzyjemny, ale tym cenniejsze jest jego stwierdzenie stanu faktycznego.

Winterton stwierdza, że jeśli idzie o stosunek Rosji, to z jednej strony mamy „małą grupę towarzyszy, którzy popierają polskie żądania wobec Rosji w zupełności, częściowo z powodu usprawiedliwionego podziwu dla bohaterstwa walki Polski w tej wojnie, częściowo zaś, ponieważ nie lubią Rosji Sowieckiej ze względów religijnych czy politycznych”. Drugie skrajne skrzydło stanowi: „osobiste popularny, ale politycznie niemożliwy komunista Gallacher, poza tym Pritt i jeszcze jeden czy dwóch posłów, których zasadą jest: „stoję po stronie sowieckiej bez względu na to czy jej sprawa jest słuszna czy niesłuszna” (*„The Soviet right or wrong”*).

A reszta, ogromna, przylaczająca większość? Ta reszta — stwierdza Winterton — jest zupełnie zdezorientowana. Ludziom tym bardzo zależy na dobrych stosunkach z Rosją, ale równocześnie „po prostu nie wiedzą, co robić z pewnymi aspektami jej polityki zagranicznej. Dlatego, gdy zabierają głos w sprawach polityki zagranicznej, starają się być entuzjastyczni, gdy mowa o przyjaźni i współpracy anglo-amerykańskiej, ale mało mówią o przyjaźni anglosowieckiej”.

Lekcję polityczną tragedii piętnastu (czy jak chce komunikat sowiecki szesnastu) aresztowanych najwyraźniej wydobyl *Economist*. Doskonale to pismo polityczne przyniosło niedawno artykuł, w sposób szczególnie wyraźny wypuklający sowieckizację polskiego życia gospodarczego. W innym artykule, poświęconym już bezpośrednio sprawie aresztów, czytamy:

„Ta właśnie polityka ugodowości i kompromisu wciągnęła rząd brytyjski stopniowo i wbrew jego woli w tragedię Polski, tak iż jest on teraz nie tylko bezsilny w pomocy sojusznikowi, dla którego wojna się rozpoczęła, ale i bezpośrednio zamieszany w wydanie demokratycznych polskich przywódców ich oprawcom więziennym (*„to their tailors”*). Uprawiana dotychczas polityka wyrządziła ogromną szkodę moralnym podstawom polityki brytyjskiej i brytyjskiej zasadzie obrony praw małych narodów. Ofiary te poczyniono w nadziei uzyskania przyjaźni współpracy Rosji Sowieckiej, ale jeśli i coś z tej współpracy zapewniono sobie, to z naszej perspektywy zyski te nie są widoczne. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie te ofiary poszły na marne, wszystkie ustępstwa minęły się z celem. Jeśli celem tej polityki miało być bliższe porozumienie, spotkała się ona z fiaskiem”.

„Jeśli zaś rezultat jakiegś polityki jest tak zupełnie równy zeru, zwykły rozsądek nakazuje jej zrewidowanie”.

Jeszcze przed oficjalnym oświadczeniem rosyjskim *Time* and *Tide* pisał, że „sprawa polskorosyjska, od dawna uważana za sprawdzian, stała się symbolem czegoś większego jeszcze”.

Najbliższe tygodnie powinny pokazać, czy do tej rewizji polityki brytyjskiej istotnie dojdzie.

„Liberated Poland”

Na Charing Cross jest kino, które wyspecjalizowało się w filmach sowieckich i w propagandzie sowieckiej. Nazywa się ono *The Tatler*.

Propaganda łapie widza w swe objęcia już w hallu. Jedna z gablot, to afisz Towarzystwa Przyjaciół ZSRR, apele, aby zapisywać się na członków. W innej gablocie można oglądać karty tytułowe szeregu broszur propagandowych. Jest wśród nich okładka, przedstawiająca tęga dziewczynę z warzawką w ręku. Broszura ma propagować wśród publiczności angielskiej kuchnię rosyjską. Z okładki też krzyczy wielkimi literami napis: „Odżywiaj się jak twój aliant”. Tłum widzi, który, jak autor tych słów, przez dłuższy czas skrupulatnie stosował się do zaleceń tego przepisu, może ocenić cały jego mimowolny komizm.

Ale widz ten nie przyszedł dla podziwiania gablot propagandowych. Nie przyszedł nawet dla oglądania samego filmu, „Syna sowieckiego Wschodu”, który jest wcale zgrabnie zrobioną propagandą braterstwa broni różnych narodowości ZSRR, ale któremu daleko do wysokiego poziomu artystycznego filmów sowieckich niedzielszych lat. Ściągnęło go do tego kina co innego. Oto nad program zapowiadano dodatek pt. *Liberated Poland*. Polska jest dziś tak gruntownie odcięta od całej reszty świata, że każdy strzęp wieści z niej, każde autentyczne zdjęcie, choćby nawet miało być propagandowe przygotowane, musi wzbudzać szczególne zaciekawienie.

Mimo to dodatek rozczarowuje. Przede wszystkim pokazano na nim tylko Chelm i Lublin. Bardzo długo wędrują „aktualności” z Moskwy do Londynu (a na ekranach innych kin londyńskich straszą już zdjęcia z Buchenwaldu). Z dodatku można się zorientować, że w Lublinie ostatnie działania wojenne przyniosły dużo zniszczeń (nie licząc zniszczeń, jakie wyrządziły we wrześniu bombardowania niemieckie), że ludzie w Kraju chodzą, mimo wszystko, jednak dużo lepiej ubrani, niż w Rosji. Widać dużo wygłodzonych twarzy. Pokazywano również potworne zdjęcia kilkuset więźniów więzienia lubelskiego, rozstrzelanych przez uchodzących Niemców. Potem niedyskretny obiektowy aparat wędrował po twarzach matek i żon, oplakujących śmierć swoich najbliższych (jest coś bardzo żenującego i przykrego w takim robieniu publicznego widowiska z czyjegoś nieszczęścia). Kilkakrotnie przez dłuższą chwilę pokazywano gen. Rół-Żymierskiego. Zakończono krótkometrażówkę zdjęciem posiedzenia Komitetu Lubelskiego. Autor tych słów szukał na zdjęciu twarzy Andrzeja Witosa. Nie znalazł go tam. Pod tym względem zdążono już film „uaktualnić”.

Z teki Zygmunta Kowalewskiego



AIN KAREM

DWUZNA CZNOŚCI

Przegląd polityczny

Dzień 6 czerwca br. ostatecznie zamyka w Europie okres wojenny i przypieczętowuje los Trzeciej Rzeszy. Począwszy od tej daty, cztery zwycięskie mocarstwa rozpoczynają oficjalnie łączną kontrolę nad dawnym obszarem niemieckim, podzielonym na cztery strefy okupacyjne. Niemiecka państwowość i suwerenność przestaje istnieć, wszelkie jej dotychczasowe organy tracą władzę, która przechodzi w ręce aliantów. Do aliantów będzie należało zdecydowanie o przyszłości Niemiec i formie ich istnienia. Ogłoszone równocześnie klauzule wojskowe *unconditional surrender* oznaczają pełną likwidację armii niemieckiej i zapędzenie jej do obozów jeńców. Tym razem przegrało nie tylko państwo, przegrał także sztab, podpisując umowę, na której mocy każdy niemiecki żołnierz staje się jeńcem automatycznie. Fuehrer, a zarazem naczelny wódz, adm. Doenitz, znalazł się w niewoli na równi z innymi.

Ta pełna likwidacja niemieckich sił zbrojnych i niemieckiej administracji wytwarza w centrum Europy pustkę polityczną. Wobec aliantów staje zadanie zorganizowania blisko 80 milionowej masy ludności, utrzymania jej w posłuchu, zapewnienia pracy i minimum środków żywnościowych, a wreszcie — co najdonioślejsze w skutkach na przyszłość — przygotowania jej do samodzielnego, demokratycznego życia. Berlińskie spotkanie gen. Eisenhowera, marsz. Montgomery'ego, gen. de Tassigny i marsz. Żukowa, miało być pierwszym krokiem na tej drodze.

Wspólna deklaracja, wydana w Berlinie, powołuje do życia czteropaństwową *Control Council*, jako najwyższą instancję, uzgadniającą posunięcia władz okupacyjnych. Obok niej będzie działać Komitet koordynacyjny, złożony z przedstawicieli czterech głównodowodzących i 13 urzędników sztabu alianckiej kontroli. W praktyce raczej Komitet, niż Rada, stanie się instytucją, na której terenie spotykają się różne tendencje ustalania stosunków między zwycięzcami, a zwycięzonymi. Na tych decyzjach kończy się wszystko, co stanowi w dokumencie berlińskim pierwiastki unifikacyjne, reszta zaś postanowień rozczłonkowuje Rzeszę pomiędzy zwycięzców, nie wiele troszcząc się o to, że podział wojskowy może się rychło stać także i podziałem politycznym.

Cztery okupacje

Rzeczywistość wojenna wykreśliła inne linie, niż te, które przewidywano w spotkaniach Wielkiej Trójki. Wojska amerykańskie i angielskie znalazły się na wschód od Łaby, na obszarze przeznaczonym dla wojsk sowieckich; równocześnie armia czerwona stała się głównym okupantem Austrii i popleczińskim rządem utworzonego bez porozumienia z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi. Wśród tych sprzeczności osiągnięto w Berlinie ugodę, według której Anglicy i Amerykanie wycofają się z terenów przyrzeczonych okupacji sowieckiej, Sowieci zaś wpuszcza do Wiednia brytyjsko-amerykańsko-francuska komisję kontrolną. Łagodzi to zatarg związany z quasi-rządem dr. Rennera, choć trudno oprzeć się wrażeniu, że Austria odegrała rolę pewnego rodzaju zastawu w stosunku do prowincji niemieckich, znajdujących się w rękach aliantów zachodnich, a do których zajęcia dążyli Rosjanie.

Linia dzieląca zarząd rosyjski i ziemie niemieckie, poddane pod zarząd anglosaski, może okazać się czymś więcej, niż zwykłym rozgraniczeniem administracyjnym. Zależy to od czasu trwania okupacji i zastosowanych podczas niej metod. Przyszłość Niemiec jest nieokreślona, samodzielnego ich życia wydaje się jeszcze bardzo odległe i ktokolwiek myśli o politycznym układzie Europy powojennej, musi spoglądać na mapę nie według sprzecznych tez toczonej się dyskusji, ale według militarnej rzeczywistości, zapowiadającej się na najbliższe lata.

Tak przynajmniej odczuwają to Francuzi, z których zapobiegliwości i uporu w targach o teren okupacyjny widać przeświadczenie, że okupacja może przesądzić przyszłe decyzje polityczne. Domaga się więc Francja powierzenia sobie całej Nadrenii, troszczy się, aby w podziałach na sfery wojskowe nie naruszyć całości Nadrenii, jako obszaru demograficznego i jako jednostki gospodarczej. Ponieważ pierwotnie nie przewidywano udziału Francji w okupowaniu Niemiec, dziś ewentualną strefę francuską trzeba wykroić z okupacji amerykańskiej i angielskiej. Anglosasi skłonni są przyznać wojskom francuskim Zagłębie Saary, Palatynat, znaczną część Księstwa Badańskiego i Nadrenię do Mozeli i Koblencki. Natomiast żądania francuskie obejmują jeszcze Kolonię i obszar północny między Kolonią, a Aachen, wraz z łączącą obydwa miasta linią kolejową. Francuzi obstają przy skupieniu ziem reńskich w jednym ręku, w czym objadają się projekty utworzenia niepodległej Republiki Reńskiej, snute jeszcze w wojnie poprzedniej — i odmawiają kompromisu proponowanego im w postaci objęcia części Wirttembergii.

Jakkolwiek ułożyć się wewnętrzne granice strefy zachodniej, istotne jest, że na zachód od linii Łaby leży Saara i Ruhr, na wschód zaś — zagłębie śląskie, przemysł saski, przemysł zbrojeniowy czeski, oraz fabryki wojenne poprzemysłowe do Austrii. Produkcja ich będzie wzbogacać arsenał Związku Sowieckiego, nie wiemy zaś, czy będzie mogła się przyczynić do pokonania Japonii.

Zdawało by się dawniej, że Rosjanie pozostawia Berlin jako ponury symbol niemieckiej klęski. Dziś jednak zaczęły się już prace nad odbudową miasta, działa radio, wychodzą dzienniki, zapowiadają otwarcie 200 kin, opery i baletu, a w nocnych kabaretach oficerowie sowieccy oklaskują piosenkę: „Berlin znów powstanie!”

Dość to dalekie od zakazu „bratania się”, jaki obowiązuje żołnierzy amerykańskich i angielskich. Oczekiwano, że spotkanie wojskowej czwórki w Berlinie ustali pewną wspólność metod postępowania. Nadzieja była wodna — marsz. Żukow zamaczył, że nie posiada dalszych pełnomocnictw i podkreślił, że nie warto dalej mówić, dopóki Amerykanie i Anglicy jeszcze pozostają w sferze przyznanej Sowieciom.

W rezultacie, z dość surowym regimem na Zachodzie kontrastują ulice Berlina oblepione plakatami ze sloganem: „Ludzie tacy jak Hitler, przychodzą i odchodzą, ale naród niemiecki pozostaje”. Radio berlińskie przemawiając ciepłym, dobronudnym głosem, podkreśla wartość berlińskich racji żywnościowych, znacznie wyższych — według zapewnień speakerów — od tych, które otrzymują Bawarczycy pod okupacją amerykańską. *Observer* miał dość powodów, by zaznaczyć, że polityka aliancka w Niemczech jest *sharply*

divided (różni się między sobą jaskrawie). Wkrótce może się rozpocząć współzawodnictwo propagandy w audycjach radiowych, za czym wsład może także łatwo pójść współzawodnictwo w kokietowaniu Niemiec. Polityka sowiecka wobec Niemców pozostaje zagadką: opinia pamięta zarówno wystąpienia Erenburga, jak i nagane, którą otrzymał. Prasa rosyjska atakowała gwałtownie chwilowe funkcjonowanie rządu flensburskiego — marsz. Żukow na zapytanie jednego z dziennikarzy o Komitet Wolnych Niemców marsz. von Paulusa, uchylił się od odpowiedzi...

Kompromisy

Prowizorycznym załatwieniem sprawy niemieckiej i austriackiej towarzyszy kompromis w sporze o Triest. Marsz. Tito zgodził się na tymczasowe rozgraniczenie, pozostawiając Triest w obrębie komendy marsz. Alexandra. Jugosłowianie ewakuowali miasto i jedynie 2000 tułowców ma pełnić obowiązki oddziału okupacyjnego w zachodniej części Istrii, podlegając dowództwu angielskiemu. Tym samym Jugosławia zatrzymała w dalszej bezpośredniej okupacji wchodnią część Istrii i Gorycji — kompromis uczynił zadość zasadniczemu stanowisku angielskiemu, iż nie może być aktu siły, Jugosłowianom zaś dał satysfakcję kontroli wojskowej nad skrawkiem przedwojennego terytorium Włoch.

Wszystkie te porozumienia — a każde z nich polega na zmianach w linii granicznej między wschodnią a zachodnią okupacją — wyglądają na uprzątnięcie stołu przed konferencją Wielkiej Trójki, zapowiadaną na czas najbliższy. Chociaż w Izbie Gmin były gorące życzenia, by spotkanie nastąpiło wreszcie gdzie indziej, niż w Rosji lub na jej pograniczu, premier musiał wyrazić żal, że Londyn nie może być tym miejscem. Gdy dojdzie do nowej konferencji Wielkiej Trójki, będzie się ona odbywać w warunkach istotnie nowych. Prez. Truman zetknął się ze Stalinem po raz pierwszy, nie związany żadnymi poufnymi przyrzeczeniami. Premier Churchill natomiast, konferując z wodzem komunistycznego państwa, będzie miał za sobą przedwyborcze oświadczenie, iż ustrój socjalistyczny nieuchronnie wytwarza swoje Gestapo. Nie wchodząc w meritum uwagi Churchilla, która w kraju tak dojrzałym politycznie jak Anglia, okazałaby się, w razie zwycięstwa Labourzystów, zapewne niesłuszną, trzeba stwierdzić, że Churchill kilkakrotnie jasno powiedział, jakiego losu obawia się dla Europy. W broszurze wyborczej premier brytyjski nie mówi o partii konserwatywnej, ale o Anglii, jej potrzebach i zadaniach. Żąda od wyborców, by uczynili ją silną, „gdyż tylko wtedy jej głos będzie się liczył na najwyższych radach świata”.

Zapowiedziane spotkanie pokaże, w jakim stopniu ów głos istotnie się liczy. Świadczy dobrze o jego powadze pewien sukces w Austrii i Triescie, podczas gdy niepokojące świadectwo daje sprawa polska i świeży incydent bornholmski.

Harry Hopkins, specjalny wysłannik prez. Trumana, bawiący przez dłuższy czas w Moskwie, dał w Paryżu do zrozumienia, że wiezie dobre wiadomości także i w sprawie polskiej. Radio paryskie oznajmiło wówczas o bliskim uwolnieniu aresztowanych przez Rosjan członków polskiego rządu i przywódców politycznych Kraju. Gdyby było to prawdą, z polskich serc spadłaby ciężka troska, Brytyjczycy zaś, którzy przygotowali owe niefortunne spotkanie, również odczuli by głęboką ulgę. Przywrócenie jednak wolności kilkunastu, choćby najwybitniejszym jednostkom, nie jest jeszcze otwarciem bram obozów koncentracyjnych licznym żołnierzom Armii Krajowej, uwięzionym przez Rosjan, nie jest jeszcze zaprzestaniem deportacji i zrezygnowaniem z terroru, jaki spotyka się często na ziemiach polskich.

Zwolnienie aresztowanych usunie groźbę, jaka istnieje dla honoru Europy, nie posuwa jednak naprzód sprawy polskiej. Wszelkie pertraktacje muszą opierać się na zaufaniu, które Rosja bardzo dotkliwie naruszyła. Ostatni gest, jaki uczynił rząd Rządu, godząc się na ujawnienie swych przedstawicieli w Kraju i na ich kontakt z władzami sowieckimi, spotkał się w odpowiedzi z brutalną represją. Jakąś gwarancją mają ludzie, którzy doświadczyli więzienia, że nie czeka ich to samo, gdy tylko powiedzą „nie” wobec świeżych żądań sowieckich? Równocześnie masowe przesiedlanie Polaków, zamieszkałych na wschód od linii Curzona, ma stworzyć fakt dokonany, podczas gdy wiadomo, że rząd polski kategorycznie tęzę Curzona odrzuca.

Dlatego też z dużymi zastrzeżeniami trzeba przyjmować optymistyczne pogłoski o możliwym rozwiązaniu sprawy polskiej. Nie każde rozwiązanie jest dobrym rozwiązaniem. Komentarze wysłannika prezydenta Trumana, J. Daviesa, znanego ze swych sympatii prosowieckich, jakie poczynił wobec stanowiska premiera Churchilla, brzmiały niepokojąco. Wynikało by bowiem z nich, że Churchill gotów jest zadowolić się utworzeniem takiego rządu, który nie składałby się wyłącznie z komunistów. Wyłącza się natomiast członków legalnego rządu polskiego, przy równoczesnym uznawaniu konieczności udziału ludzi Lublina.

Jest to mniej nawet niż Jałta. Poprzednio i Anglicy, i nieliczne grupy polskie, skłonne przyjąć dyskusję na podstawie jałtańskiej, interpretowały postanowienia Wielkiej Trójki w ten sposób, że zapowiadany rząd krajowy składałby się z przedstawicieli pięciu stronnic, przy czym komuniści otrzymaliby jedną piątą tek ministerialnych. Dziś i takie ujęcie należy do przeszłości. Jak dotąd spotkania Wielkiej Trójki nie przyniosły Polsce nic dobrego. Jeżeli obecnie przed ponownym spotkaniem, usiłuje się usunąć różnice w sprawie polskiej, trzeba się obawiać, ażeby czcze pozory nie zostały przedstawione jako przywrócenie Polsce wolności. Dewiza polską mogło by dzisiaj być zdanie: *Timeo Danaos et dona ferentes*.

Po raz pierwszy można tego świata będą prowadzić swe narady, wolni od ich dotychczasowego głównego tematu. Zniknęło zagadnienie pokonania Niemiec i spotkanie staje się quasi-konferencją pokojową głównych mocarstw. Będzie ono bardziej od San Francisco decydować o przyszłości świata. Różnice występujące w polityce okupacyjnej wobec Niemców świadczą o braku wspólnych planów organizacji pokoju. To samo wra-

żenie dominuje w prasie amerykańskiej, obserwującej przebieg konferencji. San Francisco miało zakończyć swe prace 26 maja, dziś zaś wśród cierpkich uwag opinii, obiecuje się Wielką Kartę nowoczesnego świata na koniec bieżącego miesiąca.

Zdawało by się, że uroczysta formuła traktatu angielsko-sowieckiego, mówiąca o nieposzukiwaniu nabytków terytorialnych i nieinterweniowaniu w sprawy wewnętrzne drugich państw powinna dać zdrową receptę współpracy. Ale w interpretacji sowieckiej zasada ta nabiera dwuznaczności. Związek Sowiecki posiada formę prawną federacji i oczywiście przyłączenia się nowej republiki nigdy nie będzie traktował jako aneksji cudzego terytorium. Legalność zaś władzy w obcym państwie Rosja widzi nie w kontynuacji legalnego rządu i w utrzymaniu ciągłości państwowej, lecz w administracji wyłanianej przez bliżej nieokreśloną „wolę ludu”. A na „wolę ludu” nie tylko można, lecz i należy wpływać w imię walki z faszyzmem...

Ta zasadnicza dwuznaczność obciąża także formuły przygotowywane w San Francisco. Znalazła ona swój wyraz w sporze o zasady *trusteeship* i funkcjonowanie Rady Bezpieczeństwa.

Mimo powiększenia uprawnień Zgromadzenia Ogólnego, *Security Council* pozostaje najważniejszą częścią nowego aparatu międzynarodowego. Do niej należy rozpatrywanie sporów, udzielanie zaleceń, wyznaczanie sankcji, potępienie agresora i kierowanie przeciw niemu siły zbrojnej Zjednoczonych Narodów. Zgodnie z projektami jałtańskimi uchwały Rady Bezpieczeństwa mają wyznaczać nie tylko większość głosów, ale także i jednomyślność wszystkich pięciu wielkich mocarstw, będących automatycznie — z tytułu swego znaczenia — członkami Rady. Pociągający termin „jednomyślności”, podsuwający pojęcie jednolitości i solidarności, osłania fakt, że każde z wielkich mocarstw posiada prawo weta w stosunku do każdej uchwały Rady, nawet gdy jest stroną oskarżoną w międzynarodowym konflikcie. Jałta ograniczyła przy tym veto mocarstw do spraw merytorycznych, wyłączając spod tej reguły sprawy proceduralne.

Cała ta koncepcja została nieprzychylnie przyjęta przez tzw. małe narody. W San Francisco jednak zabrakło jednolitości wśród Wielkiej Piątki w obronie przyznanego sobie przywileju. Wśród mocarstw powstała różnica zdań: Rosja wysunęła kwestię interpretacyjną.

„Mianowicie Związek Sowiecki uznał, że w praktyce w Radzie Bezpieczeństwa nie ma wniosków proceduralnych, gdyż wskutek doniosłości zagadnień wniosek proceduralny nabiera charakteru merytorycznego. Tak np. już samo wprowadzenie sprawy pod obrady *Security Council* jest dla Rosji zagadnieniem merytorycznym. W praktyce Rosja żąda, aby wielkie mocarstwa mogły swym wetem uniemożliwić nawet dyskutowanie wniosku, nawet rozpatrywanie skargi, nie mówiąc już o wyroku. Byłoby to zamknięciem ust każdemu słabszemu, pokrzywdzonemu przez silniejszego. Teza rosyjska wywołała takie zdziwienie i niechęć, że na koniec marsz. Stalin w osobistych instrukcjach zalecił delegacji sowieckiej szukanie ugody.

Mimo jednak atmosfery kompromisu, niebezpieczeństwo pozostaje żywe. W każdej chwili interpretacja sowiecka może odżyć, lub też inny punkt może zostać podany w wątpliwość. Dopóki jedni nazywają totalizmem to, co inni uważają za socjalizm i odwrotnie, świat — mimo pozorów powszechnego uznania zasad demokratycznych — pozostaje dwuznaczny. I uchwalana w San Francisco Karta Narodów Zjednoczonych może łatwo stać się nie jednym dokumentem, ale dwoma różnymi tekstami, zależnie od szerokości geograficznej, pod którą będzie czytana i od tego, kto ją będzie czytał — silny czy słaby.

Ugodniony wniosek wielkich mocarstw w przedmiocie Rady Bezpieczeństwa oczekuje ostrej opozycji na plenarnej sesji, mającej ostatecznie Kartę zatwierdzić. Małe państwa otrzymały jasną lekcję i pierwotny przyszłych konfliktów w zatargu syryjsko-francuskim. Gdyby działała już zamierzona organizacja światowa, Syria i Lewant, jako państwa o oficjalnej, choć nie faktycznej, niepodległości zwróciłyby się ze skargą do Rady Bezpieczeństwa, gdzie francuskie veto potrafiłby unieważnić wszystkie wnioski.

Na tym tle konflikt syryjski nabrał szczególnego rozgłosu. Małe państwa uświadomiły sobie, że francuskie veto zdolne jest uniemożliwić nawet dyskusję traktującą ją jako niepożądane wtarcenie się w wewnętrzne sprawy francuskich terytoriów. Zatarg rozpoczął się zajściami ulicznymi i sporadycznymi potyczkami między syryjską żandarmerią a francuskimi oddziałami. Kto pierwszy rozpoczął, trudno dociec, wydaje się jednak, że początkiem zamieszek były demonstracje miejscowe przeciw wprowadzonemu przez Francuzów posiłkom. Zamieszki przerodziły się szybko w otwarty bunt, atakujący władzę mandatową, a wsłuchanie tłumów zwracała się już nie tylko przeciw francuskiemu obywatelowi, ale prawie przeciw każdemu Europejczykowi. Ostre środki pacyfikacyjne, użyte przez Francuzów, zdołałyby zapewne doraźnie opanować sytuację w Syrii, wywołując jednak protest i akcję całego świata arabskiego.

Obawa takiego właśnie rozwoju sytuacji przyczyniła się do interwencji angielskiej. Żołnierze angielscy weszli do Bejrutu i Damaszku, równocześnie zaś Londyn zwrócił się do de Gaulle'a z żądaniem wydania rozkazu przerwania ognia. Ponieważ dalsza akcja groziła groźnym starciem z Anglikami, oddziały francuskie zamknęły się w koszarach, a sytuację opanovali wojsko angielskie. Oficjalna deklaracja Londynu zapewnia, że wprowadzone wojska wycofają się natychmiast z chwilą zawarcia traktatu francusko-syryjskiego, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że dziś jest daleko od podpisania podobnego dokumentu, niż kiedykolwiek.

Francja od dawna już była w trudnym położeniu w mandacie syryjskim. Kiedy po upadku Turcji rozległy teren dawnego imperium arabskiego został oswojony do władzy Stambułu, hasłem arabskiego nacjonalizmu było wielkie, zjednoczone, nawiązujące do świetnych tradycji historycznych, państwo panarabskie. Ambicje dynastii arabskich, konflikty plemienne, angielskie interesy i francuskie żądanie udziału w zyskach, kwestia

wreszcie żydowska, wywołały podział całego obszaru na kilka drobnych jednostek terytorialnych o statucie mandatowym. Anglii udało się ułożyć stosunki z Irakiem, choć wojna i tam przyniosła rewoltę. W Palestynie uzyskano jakby rozejm na czas walki z Niemcami, Egipt wciągnięto do współpracy przeciw osi.

Francuzom w Syrii wiodło się znacznie gorzej. Każdy rok przynosił zamieszki i rosnący antyzm. Obie strony nie mogły dojść do zgody co do ustroju i podziału terytorium syryjskiego, aż wreszcie Francja ogłosiła okrojowaną konstytucję, ustanawiając odrębną Libanu od Syrii i autonomię okręgów mniejszości narodowych, tj. Latakii i Dżebel-el-Druz. Syria odrzuciła realizowany przez Francję ustrój, ale ówczesna pozycja Francji zdołała zapewnić posłuch jej decyzjom. Wojna, obecność wojsk angielskich i amerykańskich, doniosła rolę komunikacyjną tego terenu, bazy floty angielskiej — wszystko to przyczyniło się do odroczenia na kilka lat gotowego już do wybuchu konfliktu.

Obecne starcie ma więc swe źródła w przeszłości. Dziś jednak Francja nie posiada w praktyce dawnej swobody ruchów, Anglia zaś liczy się coraz bardziej z ambicjami świata arabskiego. Na miejsce francuskiego czynnika na Middle East'cie zaczyna się wysuwać czynnik amerykański, zainteresowany w komunikacji lotniczej i w nafcie. Wchodząca na Morze Śródziemne Rosja wraca także do swych środkowo-wschodnich zainteresowań.

W tej sytuacji pragnieniem angielskim jest zlokalizowanie konfliktu i załatwienie go między bezpośrednio zainteresowanymi stronami. Francja natomiast, wychodząc z założenia, że otrzymanie przez nią mandatu syryjskiego po pierwszej wojnie światowej było wynikiem uregulowania całokształtu problemów Środkowego Wschodu, domaga się pełnej konferencji Wielkiej Piątki z udziałem Chin i Rosji. Prasa angielska sugeruje z lekką osobliwością sytuację, w której Chiny stają się zainteresowane Middle East'em, ale za tym zdaniem trzeba dostrzec niechęć wprowadzania Rosji, jako jednego z rozjemców między światem arabskim a europejskim mocarstwem mandatowym.

Niebezpieczeństwo zatargu syryjskiego leży w tym, że graniczy on z konfliktem brytyjsko-francuskim. Już dziś pełno wzajemnych oskarżeń i nieufności, natomiast coraz ciszej i ciszej o projektowanym sojuszu między państwami po obu stronach Kanału. Francja potrzeba jest w Europie i oczekuje, że Wielka Brytania doceni tę konieczność. Anglia zaś, być może, życzyłaby sobie, aby Francja zrozumiała dysproporcję gestów i rzeczywistej siły na terenach pozaeuropejskich. Najistotniejszym zaś powodem wzrastających trudności na Środkowym Wschodzie jest położenie krajów, które stały się jakby stacją węzłową linii prowadzących z Europy do Azji i na Pacyfik. Tu zakopany jest topór wojny i tu leży jedna z niezapisanych jeszcze kart pokoju.

zb.

12 czerwiec 1945 r.

KOESPONDENCJA

Do Redaktora „W D r o d z e”, Jerozolima.

W piśmie „Davar” z dnia 23 maja 1945 r. ukazała się następująca wzmianka:

„Kto pisze w piśmie polskim. W oficjalnym organie polskim „W Drodze” wydawanym przez Centrum Informacji polskiego Rządu Londyńskiego na Bl. Wschodzie, jaki ukazuje się w Jerozolimie, opublikowany został artykuł, który wywołał wielkie zdziwienie wśród Żydów polskich, a szczególnie wśród tych, którzy pochodzą ze Lwowa. Artykuł umieszczony został na pierwszej stronie, jako artykuł wstępny, napisany przez Adama Macielńskiego. Człowiek ten znany jest jako ten, który stał na czele studentów pogromczyków na Uniwersytecie Lwowskim, którzy wstawili się z nęcaniem nad Żydami i krwawymi napadami. Wybrzyki antysemityczne tego człowieka przeszły nawet granice cierpliwości ówczesnego rządu sanacyjnego w Polsce, który był zmuszony zamknąć go kilkakrotnie”.

Dnia 31 maja 1945 r. przesłałem do redakcji „Davar” w Tel-Awivie list następującej treści:

„Szanowny Panie Redaktorze,

Przyjaciele moi umożliwili mi zapoznanie się ze wzmianką o mnie w Pańskim pożytnym piśmie z dnia 23 maja 1945 r. Interes wyższego rzędu skłania mnie do skreślenia do Pana tych kilku słów, o których zamieszczenie uprzejmie Pana proszę.

Mogę Pana zapewnić, że został Pan co do wspomnianych faktów wprowadzony w błąd; są one całkowicie nieprawdziwe. Gdyby informatorzy Pana zechcieli Pana uczciwie poinformować, musieliby stwierdzić, że od początku mojej działalności politycznej miałem zrozumienie dla narodowych dążeń żydowskich i przekonań moich nie zmieniłem.

Możnaby wyrazić zdziwienie, że incydent spowodowany został artykułem o klesce Niemiec, wspólnego wroga. Sądzę, że nie leży w interesie obu narodów wytwarzanie atmosfery wzajemnie dla siebie nieżyczliwej. Z tego powodu polemiki chciałbym uważać tym listem za zamkniętą.

Fragmę miał przekazać, że Pan Redaktor zechce list niniejszy umieścić w swoim piśmie; o to samo proszę równocześnie Redakcję „W Drodze”.

Byłbym Panu Redaktorowi zobowiązany, gdyby zechciał Pan list niniejszy zamieścić w swoim pożytnym wydawnictwie.

Łączę wyrazy poważania

Adam Macielński

Jerozolima, dn. 31 maja 1945.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Adres redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.